ROK IV. PAŹDZIERNIK TOM X (XL).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

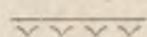
Agencya w Łodzi: przy księgarni Władysława Kaczmarka, ulica Piotrkowska Nr. 107.

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 августа 1904 года.

Treść tomu X, październikowego 1904 r.,

ogólnego zbioru XL.



ILLUSTRACYE:





Błogosławieństwo Ojca Świętego Piusa X, najmiłościwiej udzielone redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego.“

Dzielimy się z drogimi Czytelnikami najradośniejszą wiadomością, jaka nas w życiu spotkać mogła. Oto Ojciec Ś-ty Pius X, z wysokości

Stolicy Piotrowej, udzielił redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” swego Apostolskiego błogosławieństwa; podany sobie rocznik pisma wziął w swe najdostojniejsze dłonie i patrząc nań, wyrzekł: „Błogosławię!”

To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego” i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na czytelników.

Dzieląc się tą radością naszą ze wszystkimi, którzy „Dzwonek Częstochowski” czytają, uważamy ją, jako dowód dla nas łaski Bożej i Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej.



PIEŚŃ

o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny.

Na trudną rzecz się waży moje pióro —
Na opiewanie tajemnicy, którą
Kościół i wiara w serce nam oddały,
Jako skarb święty, pomnik wiecznotrwały.
Dlatego proszę Niebios, by skrzepiły
W tej pracy moje nieudolne siły
        Dla pomnożenia i czci i chwały
        Gołąbki Bożej, świętością białej.

Była Przeczysta odwiecznie przejrzana,
Na matkę Zbawcy przez Stwórcę wybrana:
Bo kiedy pierwsi rodzice zgrzeszyli,
Że zakazany im owoc spożyli,
Wtedy wraz z tymi Raju wygnańcami
Śmierć na świat weszła z wszelkiemi klęskami,
        I niebo ludziom zamknęło swoje,
        Na długie wieki, szczęścia podwoje, —

Wtedy litosny Bóg w ojcowskim gniewie,
Wielce strapionym: Adamowi, Ewie,
Obiecał zesłać, jak tęczę zbawienia,
Niewiastę świętą z królów pokolenia,
Co zetrze głowę szatana wężową,
Iż do upadku przywiódł parę ową.

Z Niej się miał zrodzić Ten z woli bożej,
Co śmiercią swoją ów grzech umorzy.

A gdy zaraził grzech ten samo źródło,
Z którego ludzkie plemię ród wywiodło,
To pojedynczo płynące strumienie,
Co z tego źródła czerpią swe istnienie,
Muszą być jego też zatrute jadem.
Tak więc my wszyscy zrodzeni tym śladem,
Poczynamy się też w grzechu owym,
I świat witamy tym grzechem rodowym.

A tylko Panna Najświętsza Jedyna,
Przez wzgląd na Zbawcę — na bożego Syna,
Którego Matką miała zostać, Ona,
Której sądzono zetrzeć skroń szatana,
Została jako czysta, nieskalana,
Za przywilejem szczególnym zwolniona
Od tej powszechnej, strasznej zarazy,
Co z pierworodnej wynikła skazy.

I od chwil pierwszych, jak Ją Pan Bóg stworzył,
Jak w łono matki skrę życia położył,
Niepokalanie już była poczęta, —
A więc Jej dusza przeczysta i święta
Nie była ani chwilę przez to samo
Zmazana winy pierworodnej plamą.
Rosła cnót pełna, niepokalana,
Biała lilija w ogrójcu Pana.

A jak Bóg Ojciec przez Syna wcielenie
Odkupił z ludzi wieczne zatracenie,
Tak też przedwiecznie wybrał Pannę ową,
By w Jej żywocie czystym Boże słowo
Stało się ciałem i z nami mieszkało.
Więc Diecię Boże narodzić się miało,
By pierworodny grzech ciężki starło,
I nam upadłym niebo otwarło.

Odtąd w dwanaście gwiazd ma skroń ubraną,
Księżyc legł pod Jej stopą nieskalaną.



Święta Anna i Święty Joachim.

Sprawiedliwości królestwo wziął sobie
Zbawiciel świata, a zaś w dłonie obie
Najukochańszej Matce złożył całe,
Wszechmiłosierdzia królestwo wspaniałe.
I od tej chwili Maryi chwała
W niebie, na ziemi całej rozbrzmiała.

Błogosławiona, Gwiazdą morza zwana,
Jutrzenką, która zrodziła nam Pana —
Sprawiedliwości słońce — Zbawiciela —
Smutnej ludzkości Oswobodziciela.
Przepowiedzieli Ją dawno prorocy:
Iż różdżka wyjdzie z nadziemskiej Wszechmocy
W rodzie Dawida, a z różdżki onej
Skwitnie kwiat cudnie rozpromieniony.

Ojcem Maryi był Joachim, jego
Ród szedł z Dawida szczepu królewskiego,
A matka Anna była urodzona
W tem pokoleniu, co szło od Aarona.
Oboje prawi, z pobożności znani,
Lecz od najbliższych byli szkalowani,
Że są bezdzietni; wszystkim się zdało,
Że niebo na nich się zagniewało.

Zacny Joachim był już starcem siwym,
I Anna była już w wieku sędziwym,
Gdy swym zwyczajem pierwszy przyniósł dary
Na ołtarz Panu; kapłan tej ofiary
Nie przyjął i rzekł surowo do niego:
„Wyjdź stąd! niegodnyś tu miejsca pierwszego:
Stadło małżeńskie sromoty godne
I wzgardy ludzkiej, gdy jest niepłodne!”

Te obelżywe słowa nie zachwiały
W starcu pokory, cierpliwość wzmacniały.
Wzgardzon od ludzi, rzekł: „Ach! w Tobie, Panie,
Mam i nadzieję i politowanie;
Od Ciebie tylko, miłosierny Boże,
W smętną mą duszę wejść pociecha może“.

I zaraz dom swój w mieście opuszcza,
I tam podąża, gdzie szumi puszcza.

Wszedł na wysoką górę, na bezdomną;
Tam sklecił chatkę maleńką i skromną;
Rozpoczął ścisły post czterdziestodniowy,
A lejąc rzewne łzy, błagał Jechowy
W modłach gorących i po dniu i w nocy,
By go obdarzył potomstwem z swej mocy,
Choć jest już w latach i świętobliwa
Anna podobnież, jak on sędziwa.

Prosił, by go Bóg dobry oswobodził
Od upokorzeń, któremi świat godził,
Że tak bezpłodnie w swem małżeństwie żyli.
Podobnież Anna smutna w tejże chwili
Zostawia dom i od natrętnych zdala,
W ogrodzie, co ich posiadłość okala,
W samotnej ciszy, jak niby w grobie,
Małą kapliczkę urządza sobie

W niej się zamyka i zalewa łzami,
W szacie pokutnej, ciało swe postami
Trapiąc, w modlitwach błaga Boga ona,
Aby potomstwem była obdarzona. —
Bóg wreszcie łaskę strapionym udziela:
Więc Archanioła śle im Gabryela;
Ten do każdego z tej świętej pary
Idzie zwiastować boskie zamiary.

I tak przemawia: „Lęku nie zaznajcie,
Jam jest aniołem Pana, więc słuchajcie!
Niosę wieść dobrą, od Boga mi daną,
Że prośba wasza jest już wysłuchaną,
I że będziecie w swojej niepłodności
Mieli potomstwo pomimo starości.
Tak to modlitwa w ufnej pokorze
Wszystko u Boga wyprosić może.“

Uwierzył święty starzec aniołowi,
Zaufał szczerze bożemu darowi,

Co miał się ziścić w ich stadle, i który
Przeciwny wszystkim był prawom natury.
Opuścił puszczę i do domu śpieszy;
Zastał tam Annę, i ta się już cieszy
Z obietnic Boga, bo była ona
Też przez Anioła już ukojona.

Jakoż spotkało wkrótce szczęście Annę:
Poczęła w swoim żywocie tę Pannę,
Z której narodzin radość w nimbie chwały
Miała wypełnić niebo i świat cały;
Gdyż nic u Boga nie jest niepodobnem. —
Po odebraniu tej wieści osobnem,
Iż głosy modlitw doszły do Boga,
Serca ich miłość wzruszyła błoga.

Z uczuć wdzięczności, za próśb ich spełnienie,
W nadmiarze szczęścia wpadli w zachwycenie,
I nastąpiło wonczas to poczęcie
Dziecinki, ale cudownie i święcie;
Bo choć objawy praw natury miało,
Bez świadomości małżonków się stało,
Dotąd wśród ludzi nigdy nieznane,
A więc poczęcie niepokalane.

Żaden ze Świętych przywileju tego
Nie doznał w świecie jeszcze nieznanego:
Wszak się bez grzechu Marya poczęła,
I pierworodnej winy nie przejęła,
Z którą się na świat każde rodzi dziecię,
Boć grzech ten ludzkość wskroś zaraził przecie,
I z prarodziców w ich pokolenia
Idzie i jad swój w nich rozkorzenia.

Niepokalanie tak poczęte Dziecię
Narodziło się w judzkim Nazarecie,
Za dni Heroda Judei władarza,
I za Augusta rzymskiego cesarza.
Osmego września przyszła z woli Pana
Najświętsza, czysta i niepokalana,



Święta Anna i Matka Boska w chwale anielskiej.

I dzień ten świętem jest uroczystem,
Dla wiernych synów świętem wieczystem.

Doznała łaski więc utwierdzającej
W świętości nigdy nie ustającej
Na Matkę Bożą; rosła jak lilia
Najbielsza, w gloryi gwiaździstej Marya.
Świętość Jej była taka niezmierzona,
Ludzkim rozumem tak nieodgadniona,
Że tylko jedno wszechwiedztwo Boże
Tę świętość pojąć w pełności może! —

Lat już pięćdziesiąt dzień ten opromienia,
Gdy uroczyście podał do wierzenia
Kościół nasz rzymski, że Panienka święta
Niepokalanie została poczęta.
Było to grudnia ósmego [1]); niezłomny
W zasadach wiary Pius wiekopomny,
Wezwał biskupów z wszech części świata,
By wydać wyrok na wieczne lata.

Wezwał do Rzymu, by w tak ważnej chwili
Swą obecnością głośno potwierdzili
Powszechną wiarę w moc dogmatu tego,
Poczęcia Maryi niepokalanego.
Pięćdziesiąt czterech kardynałów, dwieście
Arcybiskupów, biskupów i wreszcie
Szesnaście setek kapłanów było,
A od rzesz ludu aż się roiło!

Świetna procesya w Papieżów stolicy
Z muzyką, śpiewem, z Sykstyńskiej kaplicy
Do Bazyliki Watykańskiej śpieszy,
Wśród niezliczonej bogobojnej rzeszy:
Pius Dziewiąty wpośród postępuje —
Pasterz najwyższy owieczkom przoduje.
Potem mszę świętą, gdy sam odprawił,
Po nabożeństwie świat błogosławił.

---

[1]) Roku 1864.

Anielskiej barwy szata jego biała,
I usrebrzona siwizny szronami
Głowa sędziwa, cudnie wyglądała
Między lśniącemi w okrąg purpurami
Książąt Kościoła. Ów Piotra świętego
Następca, zaraz w świątyni dnia tego,
Miał na powszechne wiernych żądania
Ogłosić dogmat Niepokalania.

Więc apostolskim począł głosić słowem
Artykuł wiary o tem przedwiekowem
Niepokalanem Poczęciu Maryi,
Królowej nieba, i rajskiej Lilii,
Który ozdobił Ją cudną koroną
W to, co od wieków również już wierzono,
Który ucieszył niebo i ziemię,
Weselem ludzkie napełnił plemię.

I na znak dany wszyscy na kolana
Padają, z piersi wzbija się do Pana
Przepiękny, wielki śpiew tysięcy wielu —
Hymn wzniosły: „Przyjdź nam, Duchu Stworzycielu“.
Namiestnik boży, wiarą silny zawdy,
I nieomylny nauczyciel prawdy,
Powstał z modlitwy głębokiej, której
Wtórzyły w niebie Aniołów chóry.

Zaraz też z zamku Świętego Anioła
Setne zagrzmiały działa, a dokoła,
W kościołach Rzymu czterechsetnych, dzwony
Z piersi spiżowych, w cztery świata strony
Wraz pozdrowiły nutą cudnie graną,
Najświętszą Pannę Niepokalaną.
Milionowe echa ich odbrzmiały
W sercach pobożnych po ziemi całej!

Potem Trzynasty Leon Ojciec Święty,
Niepokalanej wielką czcią przejęty,
Wszak nabożeństwo dla Niej Różańcowe
Zalecał, krzewił, — a cóż cuda owe
W Lurdzie francuskim mówią, kędy w grocie,
Biednej pasterce zbożnej Bernadocie

Objawiła się, jako poczęta
Niepokalanie Panienka Święta?

Cześć Tej bez zmazy grzechu narodzonej,
Na wszystkie świata rozszerza się strony,
A Ojciec Święty, dziś nam panujący
Pius Dziesiąty, na ten rok bieżący
Ogłosił święto miłościwe światu —
Pięćdziesiątlecie onego dogmatu,
Bo tyle odtąd lat już zliczono,
Jak w Rzymie dogmat ten ogłoszono.

Józef Grajnert.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Teraz zrozumiała wielka dusza Jana, która tak potężnie gromiła skażenie świata i tak naglą co wzywała do pokuty, zrozumiała, gdzie jest prawdziwa sprawiedliwość. Ten sam mąż, który dotychczas w światłości Bożej oglądał straszne prawdy sądu, teraz w zdwojonym blasku patrzył na Ofiarę niewinną, która Boga przebłaga i rodzaj ludzki ze skażenia grzesznego oczyści.

Osobliwie przestrzegał faryzeuszów, ślepo ufających w praktyki zakonne, w marną sprawiedliwość zewnętrzną:

— Nie wasz baranek, dwakroć na dzień ofiarujący się w kościele na ołtarzu całopalenia, krwią swoją obmyje lud, bo prawdziwy Baranek Ten jest!

Wciąż wracając do umiłowanego przedmiotu swego, wciąż powtarza o Jezusie oznajmienia. Wskazując Go rzeszom, woła:

— Ten jest, na którego widziałem Ducha, w postaci gołębiej, z nieba zstępującego i na Nim zostającego. Widziałem na własne oczy i świadczę: Ten jest Syn Boży.

Zapewnienia swoje powtarza z naleganiem po wielekroć, a owa gorliwość odsłania nam duszę jego, zarazem świadczy o oporności, z jaką się słowa jego spotykały wśród rzesz. Bo chociaż wielki był urok i powaga Chrzciciela, mimo to zdaje się, że jego nauka o Mesyaszu nie ogarnęła wielkiej masy ludu żydowskiego, nie wykorzeniła błędnych o Zbawicielu pojęć. Ale trafiła do serc prostych i acz powoli, zwróciła uwagę ogólną na wybrańca Bożego, który zewnętrzną postacią Swoją niczem się nie odznaczał, niczem od innych ludzi nie różnił.

Znaki cudowne przy chrzcie Jezusa i proroctwa Jana, czyniły bardziej jeszcze nieprzeniknioną tajemnicę Królestwa Bożego. Jakże być może, aby ten biedny rzemieślnik galilejski, ten Nazarejczyk, miał być Mesyaszem, nadzieją i zbawieniem Izraela? Nic po sobie nie okazuje, aby mogło dać odpowiedź na te wątpliwości, więc rzesze przechodzą około Niego zdziwione, ciekawe a nieświadome. Patrzą, ale nie rozumieją.

Jezus w tym czasie nie oddalał się od brzegów Jordanu. Dnia pewnego kroczył właśnie nad rzeką. Słońce zachodziło, tłumy już się były rozeszły, ale pozostał Jan i dwaj z uczniów jego. Otóż Chrzciciel, pojrzawszy na Jezusa, znów uczuł wzruszenie głębokie i znów zawołał, jak dnia poprzedniego:

— Oto Baranek Boży!

Usłyszeli uczniowie wołającego Jana — okrzyk ten jego poruszył ich, widok Jezusa pociągnął. Opuścili Jana i szli za Jezusem. Jezus zaś, obróciwszy się i ujrzawszy ich za Nim dążących rzekł:

— Czego szukacie?

Odparli:

— Nauczycielu, gdzie mieszkasz?

Rzekł im:

— Pójdźcie a oglądajcie.

Przyszli i widzieli, gdzie mieszka, i zostali przy nim onego dnia. A była jakoby dziesiąta godzina.

Obraz ten z cudną prostotą wyraził słowy i przekazał światu jeden z tych dwóch uczniów powołanych. Chwila ta pozostała mu na zawsze pamiętną; przypomina sobie dokładnie i w opowieści swojej zaznacza godzinę onego spotkania: „była jakoby dziesiąta godzina“ — więc godzina wieczorna, kiedy słońce gaśnie, a cisza zmroku sprzyja poufnym zwierzeniom. Uczeń ów nie wymienia siebie, ale zdradza go właśnie ta jego skromność. Był to Jan, uczeń nad innych umiłowany i przed innymi przez Jezusa wybrany. Pochodził z Galilei, trudnił się, jak ojciec jego, rybactwem. To, co onej nocy i onego dnia usłyszał od Mistrza, pozostało tajemnicą. Niewątpliwie rozmawiali o Królestwie Bożem, o oczekiwaniu Izraela, o zbawieniu ludu i o Tym, który przynosząc owo zbawienie, oczekiwaniu Izraela odpowiada i Królestwo Boże

założy. Zresztą, słów tu nie było potrzeba, bo sama obecność często więcej powie niż najdłuższe opowieści. Istota wyższa, żyjąca, rozumna, miłująca, zdolna jest bez słów wywrzeć urok swój, pociągnąć do siebie tych, którzy do niej się przybliżą.

Atoli w tej opowieści znajdujemy jeden szczegół, wskazujący, jak głęboki wpływ i urok wywarł Jezus na onych dwóch gości swoich. Słowo Jego oświeciło ich, uwierzyli w Niego, w osobę i posłannictwo Jego do tego stopnia, że jeden z nich, Andrzej, także Galilejczyk i rybitwa na jeziorze Tyberyadzkiem, skoro rozświtał dzień, przejęty świętym zapałem, pobiegł do brata swego Szymona, żeby się z nim tem świętem wrażeniem podzielić. Spotkawszy brata, rzekł mu:

— Znaleźliśmy Mesyasza!

Zaraz też przywiódł go do Jezusa, a Jezus, wejrzawszy na Szymona wzrokiem przenikającym głębie duszy jego, rzekł:

— Tyś jest Szymon, syn Jana — ty będziesz zwan Cefas.

Cefas znaczy — opoka. Nadając Szymonowi tę nazwę, tak wielkie znaczenie mającą i tyle zapowiadającą, Jezus zaraz na wstępie objął go na własność, i Swojem znamieniem naznaczył. Okazał mu, jak głęboko czyta w sumieniu jego, ale przeznaczenia, jakie się dla niego pod mianem tajemniczem „opoki“ ukrywało, jeszcze mu nie objawił. Na teraz dość było, żeby Piotr uczuł się związanym z Tym, który zaczynał ujawniać się jako Chrystus i oczekiwany Mesyasz.

Bo Moc Boża, sama siebie czyniąc posłuszną prawom, które sama ustanowiła i za pomocą których ruch powszechny w całem stworzeniu utrzymuje, nigdy nie czyni przeskoków gwałtownych. Wszelkie początki, wszelkie objawy czy to tworzącego się świata, czy rodzącej się na świat istoty, są okryte zasłoną milczenia i tajemnicy. W danym wypadku patrzymy na pierwsze objawy żyjącego Ducha Jezusa. Zarówno dla Niego, jak dla każdej istoty żyjącej, żyć, to znaczy pociągać do siebie i czynić do siebie podobnemi inne istoty. Przeto wywiera urok Swój na gromadkę dusz wybranych, pociąga ją siłą nieprzepartą do uczestnictwa w Jego sprawie. I dusze te przychodzą, lgną do Niego jedna po drugiej, cicho, bez rozgłosu.

Arcybiskup Popiel, mówiąc o powołaniu przez Jezusa tych pierwszych Apostołów, czyni następujące uwagi:

Jan Chrzciciel nazwał Jezusa Barankiem Bożym, który gładzi grzechy tego świata, a z wielu względów stosowne było to porównanie. Baranek bowiem, jako pozbawiony wszelkiej możności szkodzenia innym zwierzętom, a nawet możności bronienia się, wzięty tu jest jako figura niewinności i cierpliwej ofiary. Ale w języku hebrajskim i w okolicznościach, w jakich te słowa powiedział Jan Chrzciciel, miało to porównanie jeszcze więcej wyrazistości. Prawo Mojżesza wyznaczało dzień

Oczyszczenia, — w ten dzień arcykapłan dokonywał oczyszczenia świątyni i ołtarza Ten obrzęd był jakoby oczyszczeniem i rozgrzeszeniem ludu izraelskiego z win jego. Po spełnieniu przepisanych ofiar, przyprowadzano kozła, na głowę onego kładł arcykapłan ręce, niby przelewając na niego wszystkie grzechy ludu. Następnie kozła wyprowadzano na pustynię, aby tam, wraz z owemi grzechami, zaginął. Zdarzało się jednak czasem, że kozioł, wiedziony zmyślnością, powracał z pustyni do Jerozolimy, a to brano za złą wróżbę. Właśnie wkrótce po odbytem święcie Oczyszczenia w świątyni i po dokonanej ceremonii z kozłem, Jezus wracał z puszczy po czterdziestodniowym poście, a Jan Chrzciciel, ukazując Go uczniom swoim, zdawał się porównywać Go z owym obrzędowym kozłem, nadmieniając, iż to już nie kozioł, zwierzę wzgardzone i chytre, ale Baranek Boży powraca z puszczy, który nie obrazowo, lecz rzeczywiście dźwiga na Sobie i gładzi grzechy świata, bo jest prawdziwym Zbawicielem. Tak właśnie zrozumieli słowa Chrzciciela dwaj jego uczniowie, bo nie potrzebując innych objaśnień, poszli zaraz za Jezusem. Widać, że grunt serca tych dwóch uczniów dobrze był przygotowany przez Chrzciciela.

Co do nadania Szymonowi miana „Opoki“, arcybiskup Popiel mówi:

Nadawanie komu nowego imienia miało od najdawniejszych czasów szczególne znaczenie czy to przymiotów osoby, czy przeznaczenia i urzędu, do którego człowieka powoływano. Gdy więc Andrzej przywiódł przed Jezusa brata swego Szymona, Jezus zaraz rzekł do Szymona, że nadal zwać się ma Cefas, co po łacinie przekłada się Piotr, a po polsku tłumaczy się Opoka. Zanim resztę Apostołów Jezus powołał, już postanowił Piotra uczynić opoką, na ktorej miał być ufundowany Kościół katolicki. Później, jak to obaczymy, już wobec wszystkich Apostołów rzekł do Piotra:

— Iżeś ty jest opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go.

Pierwszeństwo więc Piotra w zarządzie Kościoła nie płynie stąd, iżby on pierwszy był powołany, bo on dopiero trzeci do Jezusa przyszedł; ani z wyższości przymiotów w porównaniu z innymi Apostołami, bo ich dopiero trzech było: lecz z wyraźnej woli Jezusa, który, z powodów Sobie wiadomych, chciał Piotra mieć naczelnikiem nad Apostołami i zastępcą Swoim. Dlatego Ś-ty Mateusz Ewangelista pisze, imiona Apostołów wyliczając: „Pierwszy Szymon, którego zowią Piotr i Andrzej, brat jego.“ Wybrańśtwo to Piotra na przełożonego Apostołów często się ukazuje w Ewangeliach.

Zatem wśród onej doliny Jordanu, głęboko wyoranej, na kształt ogromnej brózdy; tam, pod niebem ogniem ziejącem, kędy słowo Chrzci-

ciela tak silnie poruszyło umysł Izraela: tam ujrzeliśmy pierwszy odblask i pierwsze rozkwitanie zbawicielskiej potęgi Jezusa.

Mając trzech uczniów, zaraz nazajutrz po powołaniu Piotra, wejrzał Jezus w stronę Galilei, której od czasu Chrztu Swego nie widział i postanowił tam powrócić. W onej drodze powrotnej, spotkał innego jeszcze Galilejczyka, Filipa, rodaka Andrzeja i Piotra, który, jak oni, mieszkał w Betsaidzie, na wybrzeżu jeziora. I tego pociągnął prostem słowem:

— Pójdź za mną.

Wezwanie Jezusa ma w sobie moc słodką, niepokonaną — za serce chwyta, porywa je. Filip natychmiast stał się uczestnikiem rodzącej się wiary, uczestnikiem zapału, jaki ogarnął jego towarzyszów. Więc spotkawszy niejakiego Natanaela, syna Tolmeusza, rzekł mu:

— O którym napisał Mojżesz w Zakonie i Prorocy, naleźliśmy Jezusa, syna Józefowego z Nazaret.

— Co mówisz? — zapytał z prostoduszną szczerością Natanael. — Zali może być co dobrego z Nazaret?

Bo z powodu zmieszanej ludności swojej z poganami, Galilea była w pogardzie u żarliwych faryzeuszów. Mówili:

— Nie przyjdzie Prorok z Galilei.

Słowa te stały się przysłowiem. Zwłaszcza Nazaret, mieścina uboga, w Piśmie Ś-tem nie wspominana, była więcej niż inne miejscowości galilejskie przedmiotem wzgardy prawowiernych.

Filip, podsycany zapałem wiary, wciąż zostający pod urokiem słodkiej mowy Jezusa, zamiast odpowiedzieć na zarzut Natanaela, mówi:

— Pójdź a oglądaj. Rzeczywistość lepiej cię przekona, niż wszelkie moje zapewnienia.

Więc Natanael przyszedł do Jezusa, a Jezus, ujrzawszy go idącego ku Sobie, odezwał się:

— Oto prawdziwie Izraelczyk, w którym nie masz zdrady.

Natanael zapytał Go zdziwiony:

— Skądże mnie znasz?

Odpowiedział Jezus:

— Znam cię pierwej niż zostałeś wezwany przez Filipa. Gdyś był pod figą, widziałem cię.

Z opowieści tej widzimy jasno, że Jezus posiadał władzę Bożą poznawania wszystkiego i wnikania we wszystko. Widział Natanaela z daleka i znał myśli jego. Natanael, w onej chwili, gdy go widział Jezus, czytał albo modlił się, obyczajem żydowskim, siedząc pod drzewem figowem. Jezus dał mu jeszcze do zrozumienia, że przenika jego sumienie. Więc Natanael nie pyta więcej ani roztrząsa; jak przed

chwilą był szczerym w powątpiewaniu swojem, tak teraz jest wielkim w prostocie wiary swojej, bo woła:

— Rabbi! Mistrzu! Tyś jest Syn Boży! Tyś jest Król Izraela!

Prawość taka ucieszyła Jezusa. Rzekł mu:

— Ponieważ, gdym ci powiedział, że cię widziałem pod figą, wierzysz, przeto będziesz świadkiem rzeczy nadzwyczajnych.

Następnie, zwracając się już do wszystkich pięciu uczniów, nadmienił uroczyście, poprzedzając proroctwo Swoje wstępem również uroczystym, którego zawsze używał, ilekroć chciał otworzyć Sobie dusze uczniów i rzeczy Boże im objawić:

— Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: ufajcie i wierzcie w Syna Bożego. Ujrzycie niebo otworzone i Anioły Boże wstępujące i zstępujące na niebo.

Owo wyrażenie: „Zaprawdę, zaprawdę mówię wam“ stale widzimy na początku wszystkich niemal mów Jezusa. On jest jedynym nauczycielem, który nauki Swoje takim wstępem rozpoczynał. Ulubiony ten zwrot Jego zawiera myśl dwojaką: prawdy i niezmienności. Uroczyste powtórzenie: „zaprawdę, zaprawdę“ wskazuje na głębokość znaczenia, ukrytego w słowach potem następujących. Żadne usta ludzkie nie ważyły się użyć tego wyrażenia. Doktorowie żydowscy, chociaż uważali się za wyrocznię w kwestyach religijnych, mimo to mówili nauczając: „Powiadam — *zaiste*, ale nie powiadam — *Amen*.“ Ś-ty Jan w „Objawieniu“ Chrystusowi daje imię *Amen*; ale już Prorok Izajasz Boga nazywał *Eloi-Amen*.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Ustanowienie duchowego macierzyństwa.

Marya jest matką naszą, a my Jej dziatkami wedle ducha — oto cośmy dotąd rozważali, ukazując jaki udział miała w sprawie odkupienia świata, dając nam Zbawiciela i ofiarując Synaczka swego w zgodzie z Ojcem Przedwiecznym na śmierć krzyżową.

Macierzyństwo to duchowe chciał Pan Jezus sam naznaczyć, wyraźnem uczynić w chwili, kiedy ducha swego polecał Ojcu Niebieskiemu.

Oto Syn Boży zawisł na krzyżu. Marya stoi pod krzyżem — milcząca, z oczami wlepionemi w Jezusa, a chociaż serce Jej wypełnia morze boleści, mężnie znosi, co na Nią przypadło. Naraz Jezus pełne tkliwości spojrzenie zwraca ku Maryi, — potem przenosząc je na umiłowanego ucznia, mówi:—„Niewiasto, oto syn twój“—a do Jana:—„oto matka twoja.“ Ewangelia zaś dopowiada: „i od tej godziny wziął ją uczeń na swą pieczę.“ [1]) Nic napozór w tem wszystkiem nadzwyczajnego — zwykłe zdarzenie, Chrystus opuszcza ziemię, umiera, zostawia Matkę osamotnioną — synowską miłością zdjęty, pieczę nad nią powierza najmilszemu uczniowi.

W ten też sposób Ojcowie Ś-ci objaśniają postąpienie Pana Jezusa i podają za przykład, jaki wszyscy naśladować powinni.

Jeżeli zaś Jana wybrał Chrystus i ten wielki i chwalebny nań obowiązek włożył, także zrozumieć łatwo.

---

[1]) Joan. 19, 25.

Jan był umiłowanym uczniem, podczas Ostatniej Wieczerzy tulił się do serca Mistrza swego, stwierdzając czystą i szczerą miłość. Jeden między Apostołami od młodości przystał do Pana Jezusa, cnotę niewinności zachowując, — on sam towarzyszył Maryi w drodze na Kalwaryę. Tłómaczenie takie słów Pana Jezusa nie podlega zarzutowi i zdaje się powinno wystarczyć, jako zgodne z okolicznościami czasu, miejsca i t. p. Pomimo to mamy inne jeszcze znaczenie słów przytoczonych — więcej nam przychylne, wielką otuchę wszystkim dające.

Pan Jezus, dając Maryę za Matkę Janowi, a Jana Maryi za Syna, okazał tę samą miłość dla nas, co i dla Jana.

O nas wszystkich pamiętał, rozmawiając z Janem, nas wszystkich Maryi oddawał, chcąc, żeby nam matką była — i nam ukazywał, żebyśmy wedle łaski czuli się Jej dziećmi. Ale czy tłómaczenie to może się uważać za zgodne z zamiarami samego testatora, czy tylko jest pobożnem naszem życzeniem, bardzo chwalebnem, jednak opierającem się na prostem zastosowaniu. [1])

Pytanie to możemy twierdząco załatwić w pierwszej jego części a tem samem usunąć przypuszczenie, że się powodujemy samemi tylko pobożnemi życzeniami.

Świadectw i dowodów nie brak, są bowiem tacy, którzy gromadzeniem ich z całą usilnością się zajmują; nie mamy miejsca na powtórzenie wszystkich — poprzestaniemy na główniejszych.

Pierwszeństwo należy się świadkowi przewyższającemu innych godnością i powagą.

Wyraźny dowód nieograniczonej miłości Chrystusa, mówi Leon XIII, mamy w tem, iż umierając aktem ostatniej swej woli — powierzył matkę swoją Janowi, rzekąc: — *Oto syn Twój* — gdyż w osobie Jana, wedle powszechnego mniemania, wskazał cały rodzaj ludzki — szczególniej też przez wiarę z Nim złączonych.

I nie jeden raz Leon XIII, w swej pobożności ku Najświętszej Maryi Pannie, słowa umierającego Zbawiciela tłómaczy. Czyni to w innych encyklikach swoich o Różańcu. Oto przykład: „W ostatniej godzinie publicznego zawodu — kiedy przymierze Nowego Zakonu pieczętował Jezus krwią swoją — powierza matkę Janowi w tych słodkich słowach: „Oto matka twoja!“ My więc, chociaż najniegodniejsi, jako wikaryusz i zastępujący Jezusa Chrystusa Syna Bożego, nie przestaje-

---

[1]) Sensus accommodatus w P. S. nie jest ten, który był zamierzony, jest to znaczenie złączone z tekstem, na bliższej lub dalszej analogii oparte.

my wychwalać tej matki wielkiej — dopokąd sił nam starczy. Ponieważ ciężar lat z każdym dniem bardziej nas przyciska i nie jesteśmy pewni swej godziny — nie ustajemy synom naszym w Chrystusie powtarzać ostatnich słów, jakie Pan z wysokości krzyża testamentem legował:—„Oto matka wasza“. [1])

Jedna uwaga w tem miejscu sama się nasuwa, którą warto zanotować. Leon XIII twierdzi, że tłómaczenie ostatniej woli Pana Jezusa zgodne jest z myślą Kościoła, *quod perpetuo sensit Ecclesia.* Zobaczymy jak daleko różnego rodzaju dokumenta pozwalają nam za tą myślą Kościoła podążać; — gdzie brakowałoby litery, tam odczujemy ducha.

Od samego początku Ojcowie Ś-ci ukazują nam Maryę, jako nową Ewę, Matkę żyjących, przez Syna Bożego i Jej Syna odrodzonych — jakby mówili: Oto matka wasza.

I nie pierwszy z Papieży Leon XIII takie znaczenie słowom Zbawiciela przypisuje. Znamy sławną Bullę złotą Benedykta XIV, w której potwierdza przywileje poprzedników swoich, nadane Zgromadzeniom od Najświętszej Maryi Panny, a szczególniej zwanemu *Prima, primaria.*

Oto w jakich słowach określa pobożność Kościoła dla Maryi:

„Kościół katolicki za natchnieniem Ducha Ś-go swego nauczyciela, od wieków czci i najgorętszą miłością synowską pała ku Najświętszej Maryi Pannie, uznając w Niej najmilszą matkę, — matkę, którą mu ostatniemi słowy legował umierający Oblubieniec: matrem extrema sui Sponsi morientis voce sibi relictam“. [2])

Po najwyższych kapłanach mamy świadectwa wybranych sług Bożych.

Ś-ty Tomasz z Villanuova, tłómacząc ustęp Ewangelii: „dał im moc, aby się stali synami Bożymi“ [3]), skąd, pyta, weźmie się to nowe pokolenie: Słowo ciałem się stało — oto początek — i z nim łączą się słowa wyrzeczone do Jana: Oto matka twoja. Jako Chrystus uczynił nas przybranymi synami Ojca swego, — tak chciał, abyśmy byli dziećmi matki Jego. — Jakoż przez nią otrzymyjemy wszelką łaskę. Czyż nie znalazła skarbu łaski, przez którą odrodzeni jesteśmy? Jan jest pierworodnym synem w duchowym porządku macierzyństwa Bogarodzicy. [4])

---

[1]) Leo XIII En. Augustissima (12 sep. 1897).

[2]) Bend. XIV Bulla Gloriosae Dominicae 27 sept. 1748.

[3]) Ioan. 1, 12.

[4]) S. Thom. a Villanova in fest. Nat. D-ni Conc. 6-a.

„Ty, chrześcijaninie — woła Ś-ty Antoni z Florencyi, który wierzysz, iż błogosławiona Marya Panna jest Matką Boga, który się stał człowiekiem i zgodnie z tą wiarą postępujesz drogą sprawiedliwości, wiedz, iż Ona jest twoją matką. — Pan nieba, Jezus Chrystus i nasz Pan — siedzący na tronie krzyża — Boskiemi usty dał Janowi Maryę za matkę — a mocą słów: — Oto syn twój — taż Panna otrzymała Jana za syna... Jan oznacza każdego godnego łaski—jakiekolwiekby było imię jego, ponieważ nosi w swem sercu łaskę poświęcającą i usprawiedliwiającą, otrzymuje za matkę Maryę Pannę i można doń powiedzieć: „Oto matka twoja“. [1])

Ś-ty Franciszek Salezy jeszcze wyraźniej to samo wypowiada:

„Jezus, — pełen współczucia, patrząc na matkę stojącą pod krzyżem wraz z ukochanym uczniem, powiedział: Niewiasto, oto syn twój! — Boże! jakaż zamiana—zamiast syna, sługę — za Boga, stworzenie!—A przecież nie uchyla się od tego Matka Boża, wiedząc, iż w osobie Jana przyjmuje za swoje, wszystkie dzieci krzyża i że będzie od nich umiłowaną matką“ [2])

Przejdźmy do objaśniaczy Pisma Ś-go.

„Pan rzekł do ucznia: Oto matka twoja, miłuj ją, czcij, szanuj, dopomagaj jako matce, — ale także we wszystkich twoich kłopotach, troskach, uciskach odwołuj się do Niej, jako do matki.

„Mowa Chrystusa, to nie jako mowa człowieka — dźwięk bez skutku — ale słowa Boże — pełne mocy, które to sprawiają co znaczą.“

Natchnęły one serce Jana gorącą miłością i uszanowaniem dla Najświętszej Panny... Oto twoja matka i matka Apostołów twoich towarzyszy i wszystkich wiernych — których jesteście przedstawicielami.— I dlatego niemasz nikogo, któryby z całą ufnością nie mógł uciekać się do Maryi i na łonie matki odpocząć.“ [3])

Oprócz Korneliusza a Lapido, moglibyśmy to samo usłyszeć od innych objaśniaczy Pisma Świętego, jak Salmero Sylveiry aż do dzisiejszego Allioli: Jan nas wszystkich przedstawił: Joannes enim nos omnes repraesentabat. [4])

I dlatego o. de Ligny, w żywocie Pana Jezusa, nie wahał się napisać:

---

[1]) S. Ant. IV p. Sum. Theol. t. 15.
[2]) S. Fran. de Sal. Sermo 19
[3]) Fr. Tolet Com. rn. Ioan. XIX, 27.
[4]) Corn. a Lap. in Ioan. XIX, 1.

„Tłómacze Pisma Ś-go zgadzają się, że Jan przedstawia nas wszystkich, że Marya, przyjmując Jana za syna, i nas adoptowała. Wszyscy panegiryści [1]) Maryi głoszą, iż Ojciec Przedwieczny, wyznaczając Maryę na Matkę swego syna, chciał, żeby była matką i tych, którzy przez znak wyzwolenia [2]) stają się dziećmi Bożemi, a macierzyństwo Maryi sięga tam, gdzie się rozciąga Ojcostwo Boga samego“ [3])

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



[1]) Panegiryści są to kaznodzieje wygłaszający pochwały świętych.

[2]) Sakramenta są znaki, przez które otrzymujemy łaskę.

[3]) De Ligny Vita I. Chr.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

— Dosyć już wstydu i spodlenia! — wykrzyknął Zamoyski. — Boże Wielki! Czy i na to będziem jako trusiątka milczeli, żeby coś nie oberwać? Wolimy być płazowanymi przez takich gałganów, niż w poczciwej walce życie dać?

— To też rzeczy bardzo się zmieniły — nadmienił Śladkowski — skoro się wszyscy postrzegli, że zamiast opieki dostali wypiekę. Deputaci wojskowi, nie czekając żołdu, poszli z Krakowa do Słomnik. Tam ich nieco gładszy Duglass chciał schamować, ale po niewczasie. Panowie hetmani także o naprawie ojczyzny myślą, wszyscy zgoła gromadzą się i radzą, jakby nieproszonych gości się pozbyć.

— To może i o nas nie zapomną... — wtrącił Kordecki.

— Pewnie. Gruchnęła wieść o oblężeniu Jasnej-Góry, gdy do Krakowa po działa burzące przysłał Miller. Zaraz wielu się naradzało, czyby nie podążyć z odsieczą. Ale insi byli zdania, że Najświętsza Panna rezydencyę Swoją Sama obroni.

— Wszelako ludzka pomoc takżeby się przydała — rzekł Zamoyski. — Przydałaby się, jeżeli nie miejscu, to krajowi, który patrzy i uczy się z czynów lepszych, jak ma dalej poczynać.

— Niewątpliwie — potaknął Śladkowski i ton zmieniając, zapytał: — Gadu, gadu, a psy w krupach. Cóż mam powiedzieć Millerowi, który mnie tu posłał?

— To, cośmy mu zawsze śpiewali — odparł Kordecki. — Więc, że załogę mamy, jak o tem wie sam, dostateczną, cudzej nie przyjmiemy. Co do traktowania, to prosim, żeby nam pozwolił wysłać dwóch zakonników do samego króla jegomości szwedzkiego.

— Gotów mnie podejrzewać, jeśli z takim marcypanem wrócę — rozśmiał się podkomorzy. — Ale co tam! Powiem, żeście uparci i kwita. Jeśli on harmatami was nie pokonał, trudno, żebym ja słowem was zmógł. Ano... trzymajcie się, zwlekajcie, a może się króla jegomości prawowitego doczekacie. To do prawdy podobne.

— Daj Boże! — westchnął Kordecki. — Nie on nas opuścił, ale myśmy go odstąpili. Obaczywszy swoją Polskę w ręku Szweda, wyrzekł się nas, jak dzieci wyrodnych. O, gdyby powrócił, inaczejby poszło wszystko. Ha! nadzieja w Bogu!

— I w dłoni naszej! — dodał pan Czarniecki, trzaskając szablą.— Zbądźmy się jeno fałszywych przyjaciół, to z wrogami pójdzie łatwo.

Przed Millerem stawił się Śladkowski kwaśny i nachmurzony.

— Jakże tam waszmości poszło z mnichami? — zagadnął go jenerał.

— Jakże pójść miało z uparciuchami? — dłonią machnął podkomorzy. — Na upór niema lekarstwa. Ani z nimi gadać, a tembardziej przekonać. Przyjęli mnie z niedowierzaniem, bo przecie głośny jestem z przywiązania do Karola Gustawa. Ochrzypłem, dysputując z nimi.

— Komuż będą wierzyli, jeśli wam nie ufają? A co zamyślają? Jakie mają plany?

— Krótko mówiąc, jenerale, ufają bezgranicznie i mocno w pomoc Najświętszej Panny.

Miller splunął ze złością.

— Niech szatan spali tych bałwochwalców! głupich papistów — zaklął.

— Ostatecznie są najlepszej myśli — kończył podkomorzy. — Fantazyę mają, serc nie tracą...

— Głupcy! Głupcy! — powtarzał Miller. W każdym razie rzecz niepojęta! nie do wiary! Kilkuset ludzi w takim obmurowanym kurniku urąga tysiącom... Szaleństwo!

— Twardzi są! Dumni! Ani gadać z nimi można...

— A Zamoyski? Czarniecki?

— Tych ledwiem widział.

— Ano, skoro chcą wojny, rzezi, gruzów, będą mieli to wszystko. Dział się spodziewam z Krakowa lada chwila. Właśnie odebraliśmy

wiadomość, że już są blizko. Sześć olbrzymich kolubryn mi przysyłają i tysiąc dwieście piechoty. Tem ich chyba zgniotę.

— Niewątpliwie, jenerale, niewątpliwie! Niech jeno działa wyłom w murach zrobią, mnichy się ulękną i zaraz poddadzą.

To rzekłszy, Śladkowski opuścił namiot jenerała i udał się do miasteczka przemyślając, w jaki sposób przeora zawiadomić o nadciągających kolubrynach i piechocie? Sam tego uczynić nie mógł, ale postanowił rozmówić się z mieszczaninem, u którego kwaterę zajął, Brzuchańskim. Nieco się wahał, bo nuż on mieszczanin go zdradzi; wreszcie Bogu się poleciwszy, przemówił do Brzuchańskiego:

— Słuchajno asan, z oczu ci poczciwie patrzy, więc może radbyś Ojcom Jasnogórskim przysługę oddać?

— Z największą ochotą — rzekł Brzuchański.

— Bo to, widzisz asan, ślizga rzecz. Trzeba byłoby do klasztoru się dostać...

— Nic trudnego! Jużemci ja, czasu tego oblężenia, w klasztorze z nowinami mało dziesięć razy był.

— A jakże się asan tam dostajesz?

— Za Szweda się przebieram. Mam tu w domu, na kwaterze, rajtara-opoja, więc gdy potrza, to go zetnę trunkiem, że leży jak kłoda, a sam wdziawszy jego pludry i zbroję, hajda pod mur!

— Hm... skoroś asan taki przemyslny, idźże jeszcze raz ode mnie.

— Poszedłbym jutro i tak, bo leżą u mnie listy do Ojca Przeora, od Ojca Paszkowskiego z Krakowa.

— Temci lepiej, dwie pieczenie przy jednym ogniu upieczesz.

— Z czemże pójdę?

— Tylko z gębą. Powiesz asan ks. Kordeckiemu, że sześć kolubryn wielkich i tysiąc dwieście piechoty ciągnie Millerowi z Krakowa. Rozumiesz? Dziś — jutro te posiłki tu staną!

Ranek w święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny wstał jasny i pogodny. Przymrozek poobielał dachy i pola; słońce, rozbiwszy mgły gęste, wstało błyszczące, miłem, niespodzianem ciepłem ogrzało ziemię zastygłą. Lekkie tylko obłoczki uciekały z wiatrami, ostatnie gońce chmur ciemnych, co się już za widnokrąg, ku Olsztynowi, skryły.

W obozie wrzał ten sam skręt i ruch, jak dnia poprzedniego. Natomiast w klasztorze obchodzono święto, jak gdyby Szwedów nie było. Światła płonęły po ołtarzach, kadzidła wonne rozsnuwały się pod sklepieniami sinemi obłoki, zakonnicy śpiewali hymny, a lud korzył się i modlił.

Kordecki Mszę ranną odprawił bez infuły, bez pastorału, jak prosty kapłan; dopiero podczas Sumy uroczystej musiał wystąpić jako opat,

w oznakach swej godności i przełożeństwa, nie zapominając, że niebawem musi podążyć na mury, aby przewodniczyć obronie świętego miejsca. Kto spojrzał na niego, mógł dojrzeć, iż spokojnym jest wiarą i ufnością Bożą, a owa wiara i ufność rozlewały się dokoła.

Wszystko przygotowane było tak, żeby nabożeństwo nie cierpiało, żeby, mimo oblężenia, było świetne. Jakoż tylko pielgrzymów brakło. Kaplica była pełna, kościół niezupełnie natłoczony, dziedzińce próżne, a działa towarzyszyły muzyce na wieży, i śpiewom w chórze, i głośnym organom, swoim hukiem posępnym i złowrogim.

W kościele tedy odbywało się nabożeństwo, a na murach czuwali ludzie, mieniając się koleją do kościoła. Każdy był na Mszy, pokląkł przed obrazem w to wielkie święto i powrócił rzeźwiejszy, dopiero po duchownym posiłku kosztując ziemskiego pokarmu. Bowiem post dawny polski, wigilię oznaczający , kończył się dopiero z nabożeństwem, czego ściśle przestrzegano.

Pan Czarniecki stał na murze, Koronkę odmawiał, wąsa podkręcał oczekując, rychło na wotywę zasygnują, gdy naraz spostrzegł, że jakiś Szwed zbliża się do muru. Jasnogórscy wnet celować do niego zaczęli, a on jakieś mrugi a migi wyprawia, coś białego ukazując z zanadrza. Dopiero gdy się zbliżył, poznano, mimo przyczepionych wąsów, Jacka Brzuchańskiego. Udając wcale niezgorzej pijanego rajtara, stanął pod murem i papiery jakieś do warowni rzucił, w kamień je obwinąwszy, ale w tej chwili prawdziwi Szwedzi wpadli na niego z za figury, z krzykiem i wrzawą, pochwycili i do obozu zawlekli. Pan Czarniecki aż się za czuprynę ułapił z żalu, nie mogąc bronić ani odstrzelić nieboraka, bał się bowiem, żeby jego kula nie trafiła. Szczęściem papiery były już za murem — pan Piotr z niemi do zakrystyi pobiegł.

— Źle, księżę przeorze — odezwał się do Kordeckiego — Brzuchańskiego złapali Szwedy, gdy papiery na mur rzucał. Papiery są, ale biednego Jacka pewnie obwieszą.

— Poturbować go poturbują, wszelako życia mu nie wezmą — rzekł przeor. — Najświętsza Panna go obroni, bo to Jej służka wierny. Wiele Jej wizerunków rozeszło się z rąk jego po świecie. Dziś mamy dzień Jej chwały, przeto Ona go ocali. Ale dawajcie pisma...

Właśnie uderzono we wszystkie dzwony na Sumę, lud tłumniej cisnąć się począł do kościoła.

Polacy, w obozie szwedzkim się znajdujący, zwrócili oczy na świątynię. Byli bez nabożeństwa, bez oblicza Bożego, odepchnięci, wygnani. Schwyciła ich myśl ta za serce, bo co to pobożnemu usłyszeć dzwony, a nie módz pomodlić się razem z innymi wiernymi. Wprawdzie mówią, że Bóg wszędzie przyjmuje modlitwę cichą, ale jaka dla człowieka różnica modlić się samemu a z braćmi... Tu, niby wilgotne drzewo, go-

rejesz powoli: tam, w ognisku, płomień cię ogarnia, pobożność innych podnosi, gromadzą się westchnienia, zlewa się pieśń w jedną i czujesz, że Bóg cię słyszy. I Polakom u Szweda serce zabiło do dzwonów, zatęsknili do kościoła. Trzeba dodać, że fara w miasteczku była zamknięta. Szeptali przeto do siebie:

— Czemuż my do klasztoru pójść nie możemy?

— Nasza wina, przy Szwedach stoim...

— A gdyby tak spróbować?

— Coś zaś! Nie wpuszczą...

— Dlaczego nie wpuszczą? Wszakżeż do kościoła?

— Spróbujmy, a nuż się uda...

— Spróbujmy! Kupić nie kupić, a potargować wolno.

Jakoż gromadka żołnierstwa polskiego udała się przez obóz szwedzki do bramy klasztornej i nuż prosić staruszka furtyana, Brata Pawła, którego wielu z nich znało:

— Ojcze Pawle! puść do ołtarza Matki Boskiej!

Lecz staruszek z góry na nich:

— Jeszcze czego? To tak? Wczoraj toście na nas zęby ostrzyli, a dziś — „Puść Ojcze Pawle!“ Przyszła koza do woza, co? Wszelako nic z tego! Niegodni jesteście przed ołtarzem Panienki doznawać pociechy dusznej. Macie proporce szwedzkie, do nich się módlcie.

— Zmiłujcie się, Ojcze Pawle, nie odtrącajcie nas...

— Nic z tego! Jeszcze mi będziecie co szpiegować dla Millera.

— A czy to się godzi, Ojcze, tak braci swoich posądzeniem krzywdzić?

— Jacy wy swoi? Jacy? Na waszych proporcach nie imię Maryi powiewa, jeno szwedzkie korony.

— Puść Ojcze Pawle, jużci na Sumę dzwonią...

— Nasza Suma nie dla was, wam niech Szwed odprawia nabożeństwo.

Lecz oni nie ustępowali — prosili coraz usilniej, serdeczniej, pokorniej, aż staruszek zmiękł i do przeora się udał z zapytaniem. Kordecki bez wahania rozporządził:

— Puszczać! Nie godzi się bronić chwały Bożej grzesznikom, zamykać przed nimi kościół! Puszczaj, Bracie Pawle, co rychlej.

Ksiądz Mielecki zauważył:

— A jeśli to szpiegi i zdrajcy?

— I ci nam nie zaszkodzą, gdy pukają do nas w imię Maryi. Ona nie dopuści krzywdy naszej. Otwieraj, Bracie Pawle, furtę i prowadź prosto do kościoła.

Stało się wedle rozkazu przeora: kwarcianych puszczano po kolei, nazwiska ich spisując. Naraz Brat Paweł, spojrzawszy na jednego

z domagających się wejścia, zastanowił się i żachnął. Bo ów żołnierz był jakiś czarny, nosa płaskatego, ust szerokich, a oczu małych, skośnych, które jednak poczciwie patrzyły. Dziwna ta fizyognomia cudzoziemca wyraźnie wskazywała. Więc Brat Paweł zagadnął:

— A waszmość kto taki?

— Mehmed Azulewicz — brzmiała odpowiedź.

Inny zaś żołnierz dodał:

— Tatarzyn to jest, Ałłaha i Mahometa wyznawający.

Porwał się Brat Paweł i drogę chcącemu wejść zagrodził.

— Apage, poganinie! Czego żądasz w przybytku chrześcijańskim?

Rozśmiał się Azulewicz na całe gardło, insi też śmiać się poczęli.

— A waszmość się nie śmiejcie, bo tu żartów niema! — zżymał się Brat Paweł. — Poganina w progi poświęcone nie wpuszczę.

— Ojcze — rzekł Azulewicz — z tatarskiego rodu się wywodzę, prawda, aleśmy tu, w Polsce, od wieków osiedli, więc Polakami się czujemy. I temu nie zaprzeczę, że muzułmańską wiarę wyznawam, wszelako to nie wadzi, żebyście mnie wpuścili. Religię katolicką szanuję, kościoła nieprzystojnością nie obrażę, a może też nie będziecie żałowali, że z wami pogadam.

Insi wojacy wstawiać się za towarzyszem zaczęli:

— Puśćcie go, Ojcze, to nasz, to z kośćmi uczciwy człek. Zachciało mu się widzieć warownię, bo mu serce aż rośnie, że jej tak dzielnie bronicie, więc go nie odtrącajcie.

Brat Paweł zmiękł, wpuścił onego Azulewicza.

Wnet też rozniosło się po klasztorze, iż Tatar w odwiedziny przyszedł, zatem po nabożeństwie wszyscy cisnęli się, pragnąc go zobaczyć. Nawet przeor Kordecki nie oparł się ciekawości. Azulewicz zaś — nawiasem mówią, poczciwe Litwinisko, — chodził po blankach w czasie nabożeństwa; kiedy inni czapki zdejmowali i on swojej uchylał; zresztą rozpatrywał się po warowni, głową trząsł, zdumienie okazując. Przeor temi oględzinami zaniepokojony, zbliżył się do niego.

— Mości Azulewicz, a chodźże waść przekąsić, co Bóg dał.

— Dziękuję serdecznie — odparł Tatar — już z rana jadłem. Nakarmiliście mnie sowicie ufnością, z jaką tu wpuszczony zostałem. Nie zapomnę tego. Ba! toćże Tatarzy litewscy jednej matki dzieci z wami. Widzicie mnie u Szweda, ale nie sądźcie, iżbym Szweda kochał. Wcale nie. Tak się jakoś złożyło. Dziś przyciągnąłem się tu z towarzyszami, bo chciałem się dowiedzieć, jakim sposobem możecie odpierać taką potęgę.

— Nie naszą siłą — rzekł ksiądz Kordecki. — Ktoś wyższy nas wspomaga

— Wierzę, inaczej sobie tego wytłumaczyć niepodobna. Niema Boga ino Bóg — podchwycił Tatar głowę schylając i dodał: — Brońcie się, brońcie, a obronicie!

Ponieważ głośno to powiedział, więc wszyscy zaczęli się cisnąć ku niemu, on zaś ciągnął:

— Obronicie się. Mury dobre, lud ochoczy, żywności i prochów nie brak, dlaczego mielibyście się poddawać?

— Istotnie mniemacie, że zdołamy się utrzymać?

— Najszczerzej. Utrzymacie się niezawodnie, jeżeli w dalszym ciągu, jakeście zaczęli, obronę prowadzić będziecie. O poddaniu myśleć nie powinniście. Szwed podpisze warunki żądane, a potem złupi was na szczęt. Przysięga on i przyrzeka, żeby ludzi w błąd wprowadzić. Spojrzyjcie, jak kraj pustoszą, chociaż uroczyście całość jego pismami z pieczęciami zawarowali.

— Wiemy już o armatach burzących, które idą na nas z Krakowa i o piechocie, która im towarzyszy — odezwał się Kordecki. — Cóż robić? Wola Boża!

— Nie lękajcie się, nie przejmujcie strachem. Działa niezawsze trafnie biją, zresztą przekonaliście się, że puszkarze szwedzcy pod górę strzelać nie umieją. A piechota? I tej się nie strachajcie. Zrazi się ona i zniechęci rychle, jak wszystko wojsko, co tu przyciągnęło. Mróz, deszcz, szrony, zwalą ją z nóg jeno patrzeć.

Słowa Azulewicza, nowiny Śladkowskiego i listy z Krakowa księdza Antoniego Paszkowskiego, zawiadamiające o szwedzkich w stolicy wiarołomstwach i zdzierstwach, tak podniosły ochotę bojową załogi jasnogórskiej, że mimo dział z Krakowa i piechoty, wszyscy wołali, iż do ostatniego tchnienia bronić się będą.

Samo święto, modlitwy i pieśni, przyczyniły się do wzbudzenia nowej w oblężonych odwagi. Czy bowiem można słuchać tych potężnych wyrazów naszej modlitwy, podnoszącej do niebios, stawiającej człowieka wyżej świata i śmierci, wyżej mocy ziemskich, a nie uczuć, że piekło nawet nie przemoże tych, których Bóg osłania? Gdy wśród modłów nieszpornych, nadeszła kolej na psalm, wyznaczony dnia tego, jakże ów psalm do serc wszystkich przemówił nieśmiertelnemi słowy, co wyrzeczone przed wieki, jęk piersi ludzkiej zawsze najdobitniej malują, wlewając otuchę, głosząc łaskę Boga nieprzebraną dla grzesznika, zwiastując miłosierdzie. Wspaniale brzmiały pod sklepieniem świątyni, jakby umyślnie do oblężonych zastosowane wyrazy:

„Wstańcie po spoczynku wy, którzy spożywacie chleb boleści...

Szczęśliwy mąż który napełnił kołczan strzałami temi, nie będzie upokorzony, gdy z nieprzyjacielem stanie u bram swoich...

Jeśli Bóg tam nie wzniesie domostwa, próżno pracują budując go ludzie."

Wszyscy czuli, że tylko przez wiarę, przez opiekę Bożą, silnymi być mogą; zapomnieli, że ich otaczały dział paszcze, setne wrogów chorągwie i zastępy. Matka Boża płaszczem niebieskim spokoju otulała służki swoje...

W ów dzień uroczysty, wszyscy, jak się nadmieniło, byli na nabożeństwie, mury nieledwie zostawiono łasce Bożej, mimo to Szwedom ani przyszło na myśl uderzyć na nie. Uważano, że brzmienia dzwonów, śpiewy i muzyka, od czasu jak puszczono wieści o czarach, dziwne czyniły na nich wrażenie. Zdało się, jakby to wszystko oznajmowało jakieś przygotowania do niewidzialnego na nich działania. I nietyle może huk dział jasnogórskich, ile dźwięk trąb, dzwonów a śpiewów ich wystraszał. Niespokojnem okiem poglądali na górę, szli ku niej opornie, a gdy około nich towarzysze padali od postrzałów, patrzyli jakby nie dowierzając, że od kuli polegli i szukali śladów innego rodzaju śmierci.

Dnia następnego działa znów grzmieć zaczęły. Szwedzi, nie zdradzając tego, iż wielkie kartauny i kolubryny nadeszły już im z Krakowa, strzelali do klasztoru powolnie, ustawiając owe potwory tak, żeby ich z Jasnej-Góry widać nie było, chcieli bowiem nagle paszczami tych strasznych pomocników rozpocząć ogień gwałtowny. Miller wszystkie swoje nadzieje na tych działach opierał, a Weyhard gorąco je podtrzymywał, co chwila powtarzając:

— Teraz za pierwszym wystrzałem mnichy poddać się muszą.

Stary jenerał milczał, nieufnie mierząc oczyma Czecha. Napróżno Weyhard usiłował znów się wkraść w jego łaski, napróżno przesadzał się w pochlebstwach i gorliwej krętaninie — Miller przyjmował wszystko obojętnie, bo wszystkie zawody i strapienia swoje jemu teraz przypisywał.

Wielkie owe spiże nierychle ustawić potrafiono — zajęła ta robota całe dwie doby. Aby ją zamaskować, puszczano tymczasem z dział mniejszych kule, ze sznurami i szmatami smolnemi, celem zapalania dachów, czego jednak baczna straż klasztorna, ustawicznie czuwając, nie dopuszczała. Niech jeno gdziekolwiek płomyk się ukazał, wnet go zalewano.

Już wreszcie przygotowano bateryе z koszów, a nawet z worów, wełną napchanych, dla owych dział krakowskich, lecz i tu Millera spotkał zawód, bo Wittemberg nie przysłał mu prochów, na jego zasoby licząc, a potwory spiżowe zjadały ich tak wiele, że zapas Millera nie na długo mógł wystarczyć. Wściekał się stary jenerał, całą nadzieję pokładał w tem, że warownia po jednym szturmie się podda, albo, że

kolubryny odrazu wyłom w murach wywiercą. Z klasztoru usunięty zdrajca Machler wskazywał strony twierdzy najsłabsze.

Kordecki i starszyzna jasnogórska, acz wiedzieli o przybyciu kolubryn, nie rozgłaszali o tem; nie chcieli załodze odbierać serca. Wszelako gorliwie umacniali słabe miejsca, resztę na wolę Bożą zdając.

W sobotę z rana, w kościele klasztornym odprawiała się Jutrznia, gdy kolubryny potężnym przemówiły głosem. Przeor był w chórze. Usłyszawszy ten huk straszliwy, zadrżał mimowoli. Zadrżał nie z bojaźni, bo był pewien, że łaską Najświętszej Panienki wsparty, wytrzyma tę napaść; ale zaniepokoił się, czy męstwo nie odbiegnie załogi. Czarniecki i Zamoyski w te pędy znaleźli się na murach. Załoga w samej rzeczy się przeraziła, stała wylękła, jak gdyby w obliczu niechybnej klęski...

Kartauny nieustannie zionęły ogień i kule od strony północnej i południowej. Czarniecki i Zamoyski zwrócili całą uwagę na zagrożone wyłomem miejsca. Widok tych dwóch nieustraszonego męstwa wodzów zawstydził, rozwiał obawę, rozochocił załogę. Każdy chciał dowieść, że niebezpieczeństwem gardzi. Wszędzie rozlegały się nawoływania:

— Śmiało! Czuwaj! Najświętsza Panna z nami!

Starcy, kobiety, dzieci nawet znosiły kamienie, ziemię, belki na zabijanie wyłomów, bądź zbierali toczące się po dziedzińcach pociski szwedzkie, dziwiąc się ich ogromowi.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

W rozdziale trzecim części trzeciej opisał ks. Nieszporkowicz zdarzenia:

R. 1663. Ojciec Antoni Michał Hacki, zakonu Cystersów w klasztorze oliwskim naprzód magister nowicyatu, potem przeor, nakoniec opat, został przez Najświętszą Pannę zachowany do takiej godności na morzu. „Kiedy bowiem z Gdańska do Belgii ze swoimi czterema zakonnikami płynął, blizko Norwegii zerwała się wielka burza, która przez całą dobę miotała okrętem. Już żagle były pozrywane, maszty potrzaskane a sam statek nieledwie tonął. Ojciec Hacki zwrócił modlitwy swoje do Pani Jasnogórskiej i wnet nawałność ustąpiła, morze się uciszyło, okręt szczęśliwie stanął w porcie. W Norwegii, Holandyi, Francyi, Niemczech, tenże Ojciec Hacki często łaski Panienki doznawał. Więc wróciwszy do swego klasztoru, pośpieszył na Jasną-Górę, z dziękczynieniem i zeznaniem. Ufundował oraz dla kaplicy cudownego wizerunku pozytyw, który wygrywał pieśni ku chwale Maryi.“

W r. 1663 zapisali Ojcowie Paulini w kronikach swoich: „Ja, Jerzy Jakub Szweryn, podkomorzy derpski, Bogu w Trójcy Ś-tej Najdobrotliwszemu, Najwyższemu i Najświętszej Bogarodzicy Pannie Maryi ofiaruję wotum srebrne, za zachowanie mnie i ocalenie z różnych niebezpieczeństw. Kiedyś mnie na morzu Baltyckiem gręznącego; kiedyś mnie z muszkietu postrzelonego kulą w pierś i ze śmiercią pasującego się zachowała: Twoją to pomocą i opieką dotąd żyję, Twój na wieki klient i sługa, o, Maryo, Matko Boża, Pani moja miłościwa.“

R. 1682, Marcyan Frezer, szlachcic zeznał: „Przed trzema niedzielami, z rozbitego na morzu okrętu i cale zatopionego z drugimi, jam sercem i ślubem do Najświętszej Panny, tu na cyprysowym stoliku wyrażonej imając się drewna, jakby umyślnie podsuniętego, chwyciłem się i zdrowo dopłynąłem do brzegu.“

R. 1701, kroniki jasnogórskie umieściły świadectwo osoby duchownej: „Ja, Brat Bernardyn Krengelt, zakonu Franciszka Ś-go Minoryta, prowincyi małopolskiej profes, kapłan, przed Bogiem Najwyższym przysięgam i oświadczam się, jako Przebłogosławiona nieba i ziemi Królowa, na Jasnej-Górze cudami najsławniejsza, mnie grzesznego, z Wenecyi do Akeny płynącego, a w wielkiem niebezpieczeństwie od morskich nawałności zostającego, miłosiernie wybawiła.“

W rozdziale czwartym części trzeciej czytamy:

R. 1658. Jan Sosienkowicz, organista z miasta Warty, przejeżdżając wozem przez rzekę Wartę z miałczyzny zbłądził i trafił na głębię. Bystry nurt wody z wozu go zgarnął, na dno zepchnął i niósł o pięcioro staj. Na szczeście biedak pamięć zachował, zdążył na Jasną-Górę się ofiarować. Zaraz na małą wyspę, wśród rzeki, woda go wyrzuciła, stamtąd go ludzie na brzeg przewieźli.

R. 1668 zapisano w kronikach klasztornych wzruszającą relacyę: „Ja, Hyacynt z Lubrańca Dąbski, kasztelan konarski, z małżonką moją Anną z Szydłowa, wyznawamy, iżeśmy doznali wielkiej łaski Najświętszej Panny w synaczkach naszych. Kiedyśmy przez Wisłę, pod Opatowem rozlaną, przewozić się mieli, wysiedliśmy z karety, samych synaczków maluczkich, Jędrzeja i Pawła, zostawiwszy. Przednie koła tak uderzyły o próg promu i tak natarły, że przewoźnikom linę z rąk wyszarpnęły i prom od brzegu odbiły, a kareta z końmi, woźnicą i dziećmi nagle do Wisły wpadła. Patrzyliśmy na to i Najświętszej Pannie Jasnogórskiej polecaliśmy tonących. Jakoż miłościwą okazała się Najświętsza Panna, bo łódź nadpłynęła niezwłocznie z ratunkiem. Synaczków wydobyto z karety, lecz sama kareta i konie coraz głębiej zanurzały się w wodę. Aliści to wszystko ocalało, prąd bowiem zaniósł pojazd z zaprzęgiem na miałczyznę. Co więcej, lubo woda zalała karetę, nic jednak z rzeczy nie zginęło. To zeznawszy, jako pamiątkę, wotum srebrne dodawam.“

R. 1670. Mikołaj Wolski, szlachcic z Sieradzkiego, pomieszaniem zmysłów został tknięty. Ponieważ lekarze nic mu poradzić nie mogli, krewni postanowili na Jasną-Górę go zawieść i tam łasce Lekarki Niebieskiej polecić. Tak zrobiono. Wzięli tedy krewniacy i przyjaciele szaleńca, a był pomiędzy nimi bogomyślny ksiądz Marcin Rolnicki, wikaryusz z Pańkowa. Kiedy przejeżdżali około jeziora Kołonieckiego, Wolski z karety się wyrwał, do wody skoczył. Czas pewien pływał,

wreszcie tonąć zaczął. Wtedy ksiądz Rolnicki i reszta kompanii nieszczęsnego szaleńca zwrócili się o pomoc do Najświętszej Panny. I oto Wolski stanął na głębi, jako na wyspie i zawołał:

— Najświętsza Panna Częstochowska prowadzi mnie do was.

Przypłynął następnie do brzegu i w dalszą puścili się drogę. W drodze onej Wolski już nie szalał, rozsądek okazywał. Klękał często, wielbił Najświętszą Pannę, dziękował Jej za ratunek, powtarzał za Ś-tym Bonawenturą: „Marya w niebezpieczeństwach na wodzie trzymała mnie i utrzymała“. Na Jasnej-Górze zupełnie do rozumu przyszedł i odtąd nie chorzał.

R. 1677. Panienka Jasnogórska z pomocą pośpieszyła księdzu Jędrzejowi Brzychowie, opatowi z Tyńca, który przejeżdżając przez zmarzłą Wisłę, załamał się i na dobre tonął, lecz miał tyle przytomności, że do Orędowniczki Niebieskiej się zwrócił.

R. 1684. Maciej Piątek, sołtys w Namysłowie, wsi śląskiej, do stawu wpadł i zniknął pod wodą. Wydobyto go nierychle, a ponieważ znaku życia nie dawał, więc o pogrzebie myślano. Lecz proboszcz miejscowy wezwał Panienkę z Jasnej-Góry, Ona zaś sprawiła, iż topielec do życia wrócił.

R. 1709. Jadwiga Kuźmianka z sąsiadką szły przez głęboką i bystrą rzekę po wązkiej kładce. W połowie drogi, rzekła żartem do towarzyszki:

— No, gdyby tak tu kto wpadł do wody, to już po nim...

Ledwie wymówiła te słowa, potknęła się i stoczyła do wody. Z pół godziny widać jej nie było, wreszcie nurt ją z topieli wychynął i na brzeg zaniósł. Mówiła potem:

— Tonąc wezwałam Panienkę Jasnogórską, Ona mnie też uratowała.

R. 1720. Marcin Korślak, ze wsi Wyżnicy, spławiał Wisłą zboże do Gdańska na tratwie, prowadzonej przez szypra Jakuba Polikowskiego. Noclegując pod miastem Kazimierzem, wpadł z tratwy głową do Wisły, a trafiwszy na wir, tonąć zaczął. Nikt się nie odważył pośpieszyć z ratunkiem, bo każdy się bał niebezpiecznego wiru. Dopiero Polikowski wyniósł z budy swojej blaszany wizerunek Najświętszej Panny Częstochowskiej i żegnając nim tonącego, błagał Panią Anielską o łaskę cudu. Korślak wybił się na wierzch, stanął na wodzie, jak na gruncie, wtedy towarzysze z łodzi dopłynęli do niego i na tratwę przywieźli.

Następuje rejestr ocalonych od morowego powietrza:

R. 1663. Urszula Locina, gdy w Warszawie zaraza grasować poczęła, schroniła się z małżonkiem na Śląsk. Tam atoli mór ją tknął. Mieszkańcy miasteczka, w którem zamieszkała, wypędzili ją natychmiast.

Ledwie już dychająca wybrała się w drogę, wprzód poleciwszy się Najświętszej Pannie. I ozdrowiała zupełnie.

R. 1677. Jan Ruszkowski, mieszczanin z Kent, syna uszłego z Krakowa przed powietrzem i już zarażonego przyjął do domu, a gdy zmarł, własnemi pogrzebał go rękoma. Wnet też domownicy mrzeć od moru zaczęli, o czem gdy się dowiedziano w mieście, dom zarażony obstawiono strażą, nikomu wyjść nie pozwalając. Wszyscy w domu onym pomarli, jeden Rutkowski został przy życiu. Ocaliła go Panienka Częstochowska, której się gorliwie polecał. Odwiedził potem Jasną-Górę z dziękczynieniem i wotum srebrne złożył w kaplicy cudownego wizerunku.

R. 1709 przybył na Jasną-Górę Jędrzej Braski z Serocka. Z początku nie wyjawił celu pielgrzymki, dopiery gdy przeor obdarzył go wizerunkiem Maryi, on rozpłakał się i rzekł:

— Ojcze Wielebny! Kocham, kocham tę Najświętszą Matkę, bo mnie ratowała od powietrza w Serocku. Mnóstwo tam ludzi zmarło, a ja, Jej się ofiarowawszy, zdrowo żyję!

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

V.

Kinga, inaczej Kunegundą zwana, małżonka Bolesława Wstydliwego.

Tedy udało się Bolesławowi odzyskać w zupełności dziedziczne Księstwo Krakowskie, lecz trzeba je było teraz na nowo, po splondrowaniu tatarskiem, zabudować i zaludnić. Dokonał tego Bolesław, świadczy o tem dokument z r. 1257. To odnowienie Krakowa, ściśle mówiąc, było powtórnem założeniem miasta, było fundamentem jego późniejszej świetności.

W tymże roku Bolesław wywdzięczył się Ś-ej Kindze za dobrodziejstwo pomocy posagowej w walce z dziczą pogańską. Mianowicie, w czasie pobytu rodziny książęcej w Korczynie, uczynił zapis, mocą którego, za spotrzebowane pieniądze posagowe, oddawał Kindze całą ziemię sandecką. Zapis ten był odczytany w zamku Korczyńskim uroczyście, wobec książąt: Kazimierza kujawskiego i Ziemowita mazowieckiego, a także wobec wielu prałatów, wojewodów, kasztelanów i innych dygnitarzy. Oto brzmienie tego dokumetu, ułożonego z niezwykłem owemu czasowi krasomówstwem:

„W imię Pańskie. Amen.

Czytamy w Piśmie Ś-tem, jako po stworzeniu pierwszego człowieka, Stworzyciel ludzi, Pan Bóg, chcąc, aby pokolenia rodu ludzkiego w coraz bujniejsze z pierwotnego pnia swego rozkrzewiły się pomnożenie; przewidując, przekazując i jawnie przedstawiając w Sobie jedność Trójcy nierozdzielnej,—wyrzekł te słowa: „Niedobrze być człowiekowi samemu; uczyńmy mu podobną jemu pomoc“. Wyrzekł zaś to dlatego, aby tem ustanowieniem i tym przywilejem zbawiennym, rosła obficie między wyznawcami wiary prawdziwej, na obszarze świata całego, nieskończona liczba jednakich ciał, mnogość potomstwa, słodycz pokoju, użyzniona rosą błogosławieństwa Bożego. Przeto My, Bolesław, z przejrzenia Bożego książę krakowski i sandomierski, oznajmiamy wszystkim obecnym i pobożnym, których dojdzie wiadomość pisma niniejszego, iż starając się od najwcześniejszych lat naszych być we wszystkiem posłusznym skinieniu i rozkazom Stwórcy Wszechmogącego, jakoteż gwoli tem lepszemu i spokojniejszemu przy łasce Bożej rządzeniu państwem naszem, idąc za mądrą radą Wielebnego w Chrystusie Ojca, księdza Wisława, biskupa krakowskiego, niemniej zgodnie z postanowieniem wszystkich naszych dostojników i panów, połączyliśmy się związkiem małżeńskim z Jej Miłością Kunegundą, córką Jego Miłości króla węgierskiego Beli, nietylko złotem, srebrem i kamieniami drogiemi, według opatrzności i wspaniałości królewskiej, świetnie ubogaconą, lecz przedewszystkiem skarbami cnót i obyczajów zacnych ozdobną, która z natchnienia Bożego, w dniach najgwałtowniejszej potrzeby naszej, udzieliła nam hojnie pociechy wsparcia ziemskiego, jak o tem dostatecznie przekona to, co niżej wyłożone.

Gdy bowiem czasu złego, za dopuszczeniem Bożem, przez grzechy nasze, Tatarzy ogniem i mieczem spustoszyli podległą nam krainę, zalali całą ziemię nagle i niespodzianie strumieniami krwi chrześcijańskiej, — gdy z wyniszczeniem i rozproszeniem rolnika wszystko zdawało się iść w zagładę; gdy odjęta nam została możność rozkazywania wszystkim, jak dawniej, obyczajem książęcym i miłą wszystkim hojnością; gdy kamienność serc zatwardziałych i gorąca żądza chciwości żadnych już zapasowych nie pozostawiła w skarbcu naszym pieniędzy, a towarzysząca nam drużyna rycerstwa szlachetnego otaczała nas raczej ze wspaniałego umysłu szczodrobliwości wrodzonej, raczej z rozrzutności chwalebnej niż ze względu na obfitość bogactwa; gdy przeto do znacznego byliśmy przywiedzeni niedostatku, ile, że nie mogliśmy już zgoła wynaleźć środków, skądby rycerstwu naszemu zwyczajny wypłacić żołd: wówczas wyżej wspomniana, czcigodna i przesławna Księżna Pani, Małżonka nasza najukochańsza, widząc nas w tak ciężkim frasunku, pobudzona niewymownem i nieomylnem spółczuciem gorącej miłości swojej, jaką zawsze afektom naszym wzajemnie odpowiadała, litu-

jąc się z głębi duszy, ofiarowała po kilkakrotnie pieniądze z posagu swego na opłacenie żołdu wyżej wspomnianego, z tym jednakże wyraźnym warunkiem, zastrzeżonym w obecności niektórej szlachty ziem naszych, iżbyśmy, dawszy Jej wierzytelność, obowiązali się wypłacić sumę przez Nią ofiarowaną, a to w swoim miejscu i czasie, szczerze i całkowicie, bez żadnego umniejszenia. Jakoż uczyniliśmy tak, dając Jej należytą rękojmię naszych przyrzeczeń, oraz obowiązując się wiernie i uroczyście wypłacić, jak wyżej powiedziano, tak wielką sumę w swoim czasie i miejscu, przynagleni do tego bodźcem konieczności gwałtownej.

Ale ponieważ wśród częstych i różnorodnych nieszczęść, kolejno po sobie następujących, nie byliśmy w stanie uiścić się z obietnicy; ponieważ widzimy się niezdolnymi do wypłacenia tak wielkiej sumy: zatem skłaniając się do mądrej rady Wielebnego Ojca, księdza Prandoty, biskupa krakowskiego, tudzież idąc za postanowieniem i jednomyślną wolą, jakòteż przyzwoleniem wszystkich naszych panów, nadajemy Jej, udzielamy i przekazujemy nieodwołalnie w posiadanie wieczyste ziemię sandecką, rzetelnie i całkowicie, bez najmniejszego uszczuplenia, z wszelką władzą książęcą, jak sami oną dzierżyliśmy, z zupełnem prawem ceł, ze wszystkiem, co tylko do pomienionej ziemi należy, więc: z lasami, rozciągającemi się aż do granic ziemi węgierskiej, z rzekami, rybołówstwem, stawami, karczmami, młynami, łąkami, pastwiskami oraz z wszelkiemi innemi przynależytościami i przyległościami, jakiemkolwiek nazwanemi imieniem tak, iżby Jej wolno było sprzedać ziemię rzeczoną, zamienić, darować, wynająć, lub jakimkolwiek wywłaszczyć się z niej sposobem. W której to ziemi nie pozostawiamy następcom naszym żadnego innego prawa, jak tylko jedyne, na korzyść pomienionej Małżonki naszej najukochańszej ustanowione prawo obrony, opieki i podpory, aby w razie powołania nas przez Boga, z więzienia cielesnego na drogę wieczystą, przesławna Pani rzeczona, wsparta pociechą i pomocą przeciw nawałnościom złych czasów, nie wydała za życia ani po śmierci ziemi rzeczonej w ręce ludu innego, ani odrywała onej w gniewie swoim od narodu polskiego, lecz przeciwnie, aby też samą zawsze macierzyńską miłość i niezachwianą wierność, jaką pomienionemu narodowi nienaruszenie i niezmiernie okazywała, i nadal mu zachowując, tuliła go nieustannie do siebie, według zwyczaju życzliwości dotychczasowej.

Żeby zaś ta nasza nienaruszalna darowizna — będąca, sprawiedliwie mówiąc, nieporównanie mniejszą od zasługi nagrodą i odpłatą — otrzymała moc wieczystej i żadnemu nadwyrężeniu niepodlegającej ważności, oraz żeby nikt, za podszeptem ducha złości i nieprawości, odrzuciwszy precz bojaźń Bożą, nie śmiał wielokrotnie wspomnianą Pa-

nią, lub Jej prawych następców, jakiemikolwiek krzywdami i napaściami trapić niesłusznie, nakazaliśmy zapis niniejszy, starannie w tym celu ułożony, utwierdzić pieczęcią naszą.

Działo się w Korczynie, wsi naszej, roku od Narodzenia Pańskiego 1257, dnia 2 miesiąca marca, w obecności świadków następujących: Prześwietnych Książąt — Kazimierza kujawskiego i łęczyckiego, Ziemowita mazowieckiego; Janusza proboszcza gnieźnieńskiego i kanclerza księcia Kazimierza; Pełki, kanclerza krakowskiego i sandomierskiego, którego ręką przywilej niniejszy wydany został; Mikołaja krakowskiego, Stogniewa sandomierskiego, Abrahama mazowieckiego wojewodów; Boguchwała sandomierskiego, Jana z Czczowa, Bronisza de Biegedi kasztelanów; Warsza stolnika, Sulisława koniuszego sandomierskiego; tudzież w obecności wielu innych duchownych i świeckich osób.“

III.

Rozpatrzmy teraz inne dla krainy polskiej dobrodziejstwa Kingi, a naprzód odkrycie przez nią skarbca solnego. W tej mierze tak nas objaśnia Karol Szajnocha:

Po dniach klęski, nastały chwile błogie. W lat kilka po pierwszej nawale tatarskiej, jeszcze przed darowizną ziemi sandeckiej, prawdopodobnie około r. 1247, udała się Kinga w odwiedziny do ojca. Król Bela obwoził córkę, dla rozrywki, po różnych okolicach swego państwa, między innemi zawiózł ją ku górom Karpackim, do krainy Marmo-ruskiej, która się ciągnęła wzdłuż południowych granic Pokucia. Słynęła ta okolica z niezmiernie obfitych kopalni soli. Król Bela, chcąc ucieszyć córkę widokiem podejmowanej w kopalniach pracy górniczej, zatrzymał się z dworem podróżnym przy jednej z tamtejszych żup, otwierającej się kilkoma szachtami, czyli szybami, w głąb ziemi. Niezwykły ten widok podziemnego mozołu górników, niezmiernie zajął młodą Kingę, aliści żywe umiłowanie narodu i ziemi polskiej nasunęło jej pytanie:

— Dlaczego naród i kraina mego małżonka nie dostąpiła tak pożądanego daru niebios?

Bo trzeba tu nadmienić, że Polska jeszcze podówczas nie znała własnych swoich skarbów solnych. Znajdowało się wprawdzie na całem podgórzu krakowskiem niemało soli, ale była to wyłącznie prawie sól warzona, tak zwana „surowica“. Wydobywano ją od najdawniejszych czasów na górze Soła, w Bochni, w Wieliczce, tudzież w wielu innych miejscowościach przyległych. O surowicy bocheńskiej czytamy

już za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, między latami 1178 a 1194. Wówczas pewien pan krakowski, zwany Michora, nadał zgromadzeniu Miechowitów znaczny dochód z soli bocheńskiej.

Dawniejsze wiadomości posiadamy o Wieliczce. Ta zapewne jeszcze w czasach pogańskich słynęła z żup swoich. Za Bolesława Krzywoustego, w pierwszych latach dwunastego wieku, o cały wiek przed napadem Tatarów i Ś-tą Kingą, pobierali Benedyktyni w Tyńcu, od dawnej już pamięci, prawdopodobnie jeszcze od panowania Bolesława Chrobrego, ogromne dochody z soli wielickiej. Na lat kilka przed przyjściem Ś-tej Kingi do Polski, opiekun Bolesława Wstydliwego, Henryk Brodaty, miał również zapewnioną część dochodów wielickich. Dochody owe płynęły z soli dwojakiej: warzonej i kopalnej. Przekonywają nas o tem nazwy soli, podawane przez ówczesne dokumenta, jak nazwa „surowica", umieszczona w dokumencie z r. 1105, dotycząca jedynie soli wodnej i nazwa „kopalnia" (po łacinie *salsifodina*), umieszczona w dokumencie z czasów Leszka Białego, a oznaczająca tylko sól kryształową, gdyż sól warzoną nazywano zwykle inaczej, więc: *fons*, *gurgites*, *coctura salis*. Najpoważniejsi, dawni i nowocześni, pisarze, są zdania, iż sól kamienną wydobywano w Wieliczce jeszcze za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, gdyż i król ten, założywszy klasztor w Sulejowie, obdarzył go w r. 1176 dochodami „z różnego gatunku soli krakowskiej." Z powodu obfitości soli podwójnego gatunku, Wieliczka otrzymała swoją nazwe pierwotną. W dokumentach dawnych nazywano ją *Magnum Sal*, a to dowodzi, że onego czasu nazywała się Wielka-Sól lub Wieliczka-Sól, jak wieś pod Samborem nazywano Stara-Sól, z biegiem zaś czasu nazwę skrócono, odrzucając wyraz Sól, tak, że pozostało się tylko— Wieliczka.

Przeto bardzo dawno przed Ś-tą Kingą istniały w ziemi krakowskiej warzelnie i kopalnie soli, mianowicie istniała w Bochni sól źródłowa, a w Wieliczce źródłowa i kamienna. Lecz jak Bochnia, przy samej soli źródłowej, w najmniejsze z późniejszą Bochnią górniczą nie mogła iść porównanie: tak nawet podwójne bogactwo Wieliczki, ubogiej jeszcze podówczas wioski, dopiero w lat kilkadziesięt po zasłynięciu Bochni, do godności miasta podniesionej, wcale nie wystarczało na zaspokojenie potrzeb ludności okolicznej. Miała tedy dobrotliwa małżonka Bolesława wszelki powód ubolewać, iż kraj jej nie posiada takiego bogactwa soli, jakie właśnie podziwiała w kopalniach Marmo-ruskich.

Ubolewając nad tem, zwróciła się Kinga do ojca z prośbą, aby jej darował jeden z szybów zwiedzanej kopalni, gdyż pragnęła, jako miłościwa matka ludu, usunąć niedostatek drugiej swojej ojczyzny. Prośba owa nie była dziwną i z tego jeszcze powodu, że podówczas, zarówno

w Węgrzech, jak w Polsce, każda kopalnia królewska szła zwykle, bądź jako dar, bądź jako wypłata zaległej należności, w podział i w posiadanie wielu osobnych, często z dala mieszkających, niekiedy nawet zagranicznych ulubieńców lub służebników królewskich. Nie zdziwiło więc króla żądanie córki, będąc dobrym ojcem, podarował jej szyb żądany. Rozradowało się serce Kingi. W natchnieniu igraszki niewinnej, umyśliła wziąć w posiadanie dar rodzicielski, jak gdyby chcąc zapobiedz, żeby niczyje zaprzeczenie nie mogło onego w przyszłości jej odebrać. Był podówczas zwyczaj, że obejmujący cokolwiek w posiadanie, dopełniał pewnego obrzędu. Więc albo przywdziewał podaną sobie przez obdarzającego czapkę; albo zabierał z sobą grudkę ziemi z darowanego gruntu; bądź wreszcie rzucał na obejmowaną darowiznę swój pierścień. Kinga zwróciła się do sposobu ostatniego. Zdjąwszy przeto niewielki, złoty pierścionek z palca, z uprzejmym uśmiechem wrzuciła go w głąb darowanego szybu. Długosz pisze o tem zdarzeniu tak:

„Od ojca darowany szyb, oddzielając od innych, a jakby w wieczną własność i dzierżawę biorąc, pierścionek w niego wrzuciła, tym sposobem zakazując, żeby w owej daninie od nikogo w przyszłości ubliżenia żadnego nie miała. Wszyscy, co tam natenczas byli, za żart to raczej niż jako rzecz istną przyjmowali.“

Aliści ten żart rzekomy wprowadzał Kingę i ziemię krakowską istotnie w posiadanie i użytkowanie darowanego szybu. Pierścień spadł pomiędzy pracujących w głębi szybu górników, a niebawem, bądź jednocześnie z powracającą nad Wisłę Kingą, bądź nieco później, toczyły się do Polski liczne wozy, naładowane solą z szybu marmoruskiego, i wędrowali tam z Marmorusu górnicy solni, mianowicie z szybu Ś-tej Kingi, zawezwani do żup krakowskich, celem lepszego onych urządzenia, zbadania i rozszerzenia.

Jakoż ujawniają się w Polsce w tym czasie ślady nowopodejmowanych trudów w tej mierze. Szczególniej zajmowano się nowszą żupą bocheńską. Miał w tem główny udział braciszek Benedyktynów tynieckich, późniejszy opat tego klasztoru, nazwiskiem Wierzbięta. W dokumencie z r. 1248, nazywa go Bolesław Wstydliwy, ze względu na jego pracę oraz ze względu na znaczne koszta, przez niego wyłożone, — „wielce zasłużonym nad uporządkowaniem żupy bocheńskiej.” Lecz użyte przy tem wyrażenia żupnicze: „panew“, „warzelnia“, stosujące się zawsze tylko do soli źródłowej, dowodzą, że w r. 1248 znano w Bochni jeszcze tylko sól wodną. W każdym razie czyniono wciąż dalsze próby kopania w różnych miejscach poblizkich, poszukując bądź nowych źródeł, bądź też kamiennej soli. Przy jednej z takich prób, we dwa lata po owej wiadomości o pracach żupniczych braciszka Wierzbięty, więc w r. 1251, zajęci pogłębianiem studni górnicy, prawdopodobnie węgier-

scy, może nawet ci sami, wobec których Kinga swój pierścień do szybu marmoruskiego wrzuciła, dokopali się w Bochni twardych pokładów soli.

Dano natychmiast o tem szczęśliwem zdarzeniu wiadomość do Krakowa obojgu księstwu, a przedewszystkiem Ś-tej Kindze, która wielce się sprawami solnemi zajmowała, rozumiejąc ich dla kraju doniosłość. Z pożądaną nowiną, przynieśli górnicy do Krakowa zarazem ów pierścień marmoruski, opowiadając, iż go znaleźli w pierwszym rozbitym bałwanie szybu nowego. Od tej chwili pamięć szczęśliwego odkrycia skarbów bocheńskich, będącego niejako tylko następstwem onego „żartu“ w kopalni węgierskiej, zespoliła się nierozerwalnie z jego narzędziem: z cudownym pierścieniem Ś-ej Kingi.

Atoli więcej o tem mówiono niż pisano. Wprawdzie wszystkie opowiedziane wyżej szczegóły zaciągnął Długosz do swojej księgi o życiu Ś-tej Kingi, ułożonej w lat 200 po Bolesławie Wstydliwym, lecz dzieło to jego, nigdy w kraju drukiem nieogłoszone, bardzo rzadkich miewając czytelników, nie wpłynęło dostatecznie na wyobrażenie ogółu. Dopiero w drugiej połowie XVI stulecia, gdy niepoparte pismem podanie zupełnie fałszywe przybrało rysy, prawiąc o posagowem przez Ś-tą Kingę sprowadzeniu soli za pomocą ślubnej obrączki do żup wielickich, zamiast bocheńskich, dopiero wtedy spisał owo skażone fałszem podanie poeta Szreter wierszem łacińskim. Lecz uznano je wprost za bajkę i tym sposobem odmówiono Ś-tej Kindze uczestnictwa w otwarciu żupy bocheńskiej.

W naszych czasach jednak zaczęto podanie rzeczone badać, gdyż oprócz przywiedzionych wyżej danych, stwierdzających, iż część prawdy w sobie zawiera, przyszły w pomoc nowoodnalezione świadectwa dziejowe, które również stwierdziły, że Kinga w otwarciu żup bocheńskich istotnie uczestniczyła. Do takich świadectw należy kapliczka drewniana, wystawiona przy drodze do Bochni w miejscu, gdzie pierszy bałwan soli znaleziono, a jeszcze w XVII wieku, jako pamiątka tego wypadku wskazywana. Drugiem, więcej wymowniejszem świadectwem jest całe miasteczko Bochnia, założone na gruncie dawnej, ubogiej wioski tegoż nazwiska dopiero w r. 1253, to jest we dwa lata po odkryciu kopalni, gdy z powodu świeżego jej urządzenia, dwór książęcy często odtąd w Bochni przebywać zaczął, a zyskowny handel nową solą, liczną w tę stronę zwabił ludność. Dawniejsza istnieniem Wieliczka, przyćmiona świetnością Bochni, jeszcze przed lat 30 z górą wsią pozostawała i dopiero w r. 1290 do godności miasta ją wyniesiono. Inne dowody znajdują się w rozmaitych „Rocznikach klasztornych“, jak „Rocznik Krakowski“, „Rocznik Sieniawski“, pisanych przed Długoszem. W tych „Rocznikach“ czytamy wyraźnie: „Roku 1251 odkryto w Bochni sól

twardą". Długosz w swoich „Dziejach Polski" również pod r. 1251 zapisuje odkrycie w Bochni „soli twardej, którą wydobywają w dużych bryłach." Najważniejszem jednak świadectwem są własne słowa Bolesława Wstydliwego, umieszczone w jego testamencie, wydanym dnia 6 grudnia 1279 r., więc na cztery dni przed śmiercią księcia. Przekazując kościołowi krakowskiemu dochód z żupy bocheńskiej, oświadcza Bolesław wyraźnie, że kopalnia bocheńska została dopiero za jego czasów odkryta, a polecenie samego zapisu szczególnej opiece Ś-tej Kingi, wskazuje w niej główną nowoodkrytej żupy Patronkę. Oto osnowa rzeczonego testamentu:

„W imię Pańskie. Amen.

My Bolesław, krakowski i sandomierski, z Boskiego przejrzenia, książe prześwietny. Chcemy mieć wiadomo wszystkim, a mianowicie tym, którzy sądownictwu podlegają naszemu, więc oznajmiamy pismem niniejszem, jako wieś, którąśmy od imienia naszego kazali nazwać Bolesław, założoną przez nas niezbyt daleko od wsi biskupiej Sławkowa, postanowiliśmy, dla zbawienia duszy naszej, poświęcić Panu Bogu. Dajemy ją przeto kapitule kościoła krakowskiego, matki naszej, mianowicie kanonikom, jako darowiznę zupełną. Wioska ma być wieczyście dzierżona przez nich i jedynie na użytek kanoników obracana. Dajemy ją z całkowitym okręgiem, obwiedzionym pewną granicą, z wszelkiemi przynależytościami, dochodami, pożytkami, jednem słowem: z zupełnem prawem i władzą wszelką, bez najmniejszego uszczuplenia, jak oną sami dotychczas posiadamy. Chcąc zaś pomienionemu kościołowi tem większą okazać hojność, zapisujemy rzeczonym kanonikom, podobnież dla zbawienia duszy naszej, 200 grzywien srebra z żupy soli bocheńskiej, której skarby i obfitość Bóg Wszechmogący za naszych czasów na jaw wydobyć raczył. Sumę rzeczoną kanonicy mają odbierać corocznie po wszystkie wieki. Obydwie te darowizny, uczynione przez nas, prawego pana i dziedzica, polecamy i chcemy mieć zachowane nienaruszalnie, pod zagrożeniem sądu Bożego, przez wszystkich naszych następców, jak do tego prawem Bożem i ludzkiem upoważnieni jesteśmy, obowiązując ich ku temu. Które to darowizny, już dawniej przez nas uczynione, potwierdzamy teraz ostatnią wolą naszą, rozkazując umocnić je pismem publicznem, w obecności małżonki naszej, Przezacnej Pani Kunegundy, córki przesławnego króla Węgier Beli, i Jej, między innymi, zwłaszcza zapis niniejszy poszczególnie do wykonania poleciliśmy; tudzież w obecności wielu szlachty i panów naszych, rozkazując niektórym z nich przyłożyć i przywiesić imiona i pieczęcie swoje na karcie niniejszej. Mianowicie zaś pieczęcią naszą, lubo tylko mniejszą, gdyż większej nie mogliśmy w tej chwili mieć do użycia, jakoteż pieczęcią ukochanej Małżonki naszej, ku wieczystej prawomocności i nigdy nie-

wygasłej pamięci, kazaliśmy utwierdzić pismo nasze. Działo się w Korczynie roku Pańskiego 1279, dnia 6 grudnia.“

Musimy jeszcze nadmienić o pobożnej fundacyi Kingi, gdyż dzieło to wielki wpływ wywarło na rozwój życia religijnego i oświaty w Polsce.

Otóż twierdzono dawniej, że Kinga zaraz po śmierci Bolesława Wstydliwego zamknęła się w klastorze Sandeckim. Badania przekonały, że twierdzenie to niesłuszne. Wdowa po księciu krakowskim naprzód wybudowała klasztor w Starym Sądczą, bo go tam nie było. Fundacyę tego klasztoru przypisują niektórzy małżonkowi Kingi, Bolesławowi, również niesłusznie. Błąd wynikł zapewne z tego powodu, że wszelkie ówczesne, znaczniejsze fundacye i darowizny bywały zwykle wprzód wielokrotnie ślubione, uchwalane, nawet piśmiennem stwierdzane postanowieniem, zanim zostały urzeczywistnione. Tak samo było z fundacyą Panien Klarysek w Starym Sądczu. Uchwalili ją spólnie oboje małżonkowie książęcy, lecz do skutku ją przyprowadziła sama Kinga.

Nastąpiło to dopiero w lat kilka po śmierci Bolesława Wstydliwego — powiada Szajnocha. — Sam dokument fundacyi, ze strony Kingi, został ułożony w siedm miesięcy po tem zdarzeniu, a był on zarazem aktem, usuwającym różne nieporozumienia. Kinga bowiem, osiadłszy po stracie małżonka w swoim Księstwie Sandeckiem, doznała niespodziewanej przykrości od następcy Bolesława, Leszka Czarnego. Zdaje się, że ów Leszek, idąc śladem ówczesnych książąt śląskich, prześladowców biskupów i duchowieństwa, nie pozwalał Kindze obrócić zapisanej przez męża ziemi na fundacyę klasztoru zamierzonego. Dopiero pośrednictwo braciszka Bogusława, przysłanego umyślnie na odbywający się w Starym Sądczu zjazd Kingi z Leszkiem Czarnym, strony zwaśnione zgodziło. Leszek przyznał Kindze prawo założenia klasztoru i uposażenia go swoją ziemią, poczem w przytomności obojga, to jest Leszka i Kingi, wobec licznie zgromadzonego duchowieństwa zakonnego i świeckiego, a także wobec tłumnie zgromadzonych panów i szlachty, ogłoszony został następujący akt fundacyjny:

„W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Sprawia niekiedy nadmiar złości światowej, iż nietylko to, co dla dobra śmiertelnych, lecz nawet co postanowione bywa ku czci i chwale Jedynego i Przedwiecznego Boga, podlega częstokroć unieważnieniu, jeśli mu podpisy świadków i świadectwa dokumentów wiekuistej nie nadadzą trwałości. Przeto niech wiedzą obecni i potomni, że my, Kunegunda, wdowa po księciu Bolesławie ś. p., dziedzicu niegdyś Krakowa i Sandomierza, pani i księżna sandecka, bacząc pobożnej rozwagi okiem i ścisłem rozważając zastanowieniem, jako nic w dniu onego Sądu Ostatecznego tak się nie przyda, ani może ubłagać surowości Sędzi

Najwyższego, który sprawiedliwym żywot a niesprawiedliwym zgon wydziela wieczysty, nad uczynki bogobojności i miłosierdzia, które jedynym natenczas sprawców swoich będą orszakiem, wprowadzą ich w podwoje szczęśliwości nigdy nieustającej, — postanowiliśmy ku chwale Bożej, ku uczczeniu Świętej Boga Rodzicielki Maryi i Błogosławionego Franciszka, Wyznawcy przezacnego, tudzież ku rozszerzeniu świętobliwości zakonnej i zbawieniu dusznemu, tak duszy naszej, jakoteż wyżej rzeczonego pana i małżonka naszego, założyć i zbudować w mieście Sądczu monaster, czyli klasztor mniszek zakonu Ś-tej Klary, ustanawiając w nim pewną liczbę osób, mianowicie Ksienię ze zgromadzeniem i konwentem Sióstr, aby wyrzekłszy się popędów własnej woli, służyły Panu w bojaźni we dnie i w nocy, i kroczyły przed Nim w świętobliwości i prawdzie, zaprzawszy się świata i siebie, przez wązką raczej ścieżkę i ciasną bramę obierając wnijście do życia; przez co nie bez słuszności należy wspierać je wszelkiemi potrzebami żywota doczesnego, aby im spokojniej tem goręcej pełniły służbę Panu i były użytecznemi: sobie zasługą życia swego, innym zaś modłów pomocą i przykładem.

Pragnąc tedy ochronić je od niedostatku rzeczy światowych, aby zawsze opływały w skarby duchowne, dajemy im, zapisujemy i tytułem wieczystej darowizny, szczerą i nieprzymuszoną wolą, nieodwołalnie przekazujemy im pomienione miasto Sądcz, z poborem celnym, wszelkim jego dochodem i użytkiem, jakteż poniższe nasze wsi i dziedziny: Barcice, Gołkowice, Kadcza, Łącko, Maszkowice, Czerniec, Zarzecze, Zagórzyno, Szczeres, Kłączany, Noszocowice, Dąbrowa, Mokra, Podegrodzie, Gostwica, Brzenia, Podrzecze, Kochorowice, Bieżyce, Chełmiec, Strzeszyce, Siedlce, Elbina, Świniarsko, Bieganice, Myślec, Podobiniec, Przysietnice i Wietrznice, z rzekami, młynami, jazami, rybołówstwem, lasami, gajami, myślistwem, pszczelnictwem i z wszelkiemi resztą użytkami i przynależytościami, jakie tym wsiom oddawna przysługują, tudzież z wszelkiem prawem i władzą wszelką, jak one naszym własnym podlegały dotychczas rządom; dajemy onemu klasztorowi i kowentowi prawem dziedzicznem, w spokojne i niezachwiane po wieki posiadanie, z tym jedynie wyjątkiem, iż dla utrzymania życia naszego i gwoli potrzebom naszym, zachowujemy sobie, dopóki żyć będziemy, z wymienionego powyżej cła 200 grzywien srebra lanego, corocznie pobierać się mających. Wymienione zaś miasto i wsi, z wszelkiemi prawami, sądami, winami, pożytkami i przynależytościami pomienionemi, posiadane przez nas prawem daru ślubnego, czyli tytułem posagu albo wiana, postanowiliśmy nadać klasztorowi pomienionemu, jako prawowita onych pani i księżna, przekazując je w ręce Wielebnego w Chrystusie Ojca naszego, braciszka Mateusza, mininistra-prowin-

cyała, Ś-tej Marty in Porticu, dyakona kardynała, opiekuna i obrońcy zakonu Ś-go Franciszka Wyznawcy.

Nikomu tedy ze śmiertelnych nie wolno naruszać niniejszego darowizny naszej zapisu lub zuchwałą wykraczać przeciw niemu śmiałością. Ktoby zaś poważył się uczynić to, ten niech ściągnie na siebie gniew Boga Wszechmocnego i Świętych wyżej wspomnianych, i wraz z niesprawiedliwymi w dniu Sądu Ostatecznego niech otrzyma swój dział. Zaczem ku tem najpewniejszej jawności wszystkiego, co tu wyrzekło się, kazaliśmy spisać i pieczęciami naszemi utwierdzić kartę niniejszą.

Działo się to publicznie w Sądczu, wobec przemożnego pana Leszka, prześwietnego księcia Krakowa, Sandomierza i Sieradza, który podtenczas jawnie oświadczył, iż możemy uczynić sprawiedliwie darowiznę rzeczoną, i który także pieczęcią swoją umocnił akt niniejszy. W roku Pańskim 1280, w oktawę Świętych Apostołów Piotra i Pawła. W obecności świadków: Komesa Warsza, kasztelana krakowskiego; księdza Prokopa, kanclerza księcia Leszka; komesa Pełki, kasztelana sandomierskiego; komesa Żegoty, kasztelana lubelskiego; komesa Marcina, kasztelana brzezińskiego.Jakoteż wobec następujących kapłanów zakonnych i Ojców Wielebnych: Mikołaja, ministra-prowincyała; braciszka Szczepana, gwardyana strzygońskiego; braciszka Bogusława, lektora Braci zakonu Kaznodziejskiego; braciszka Jana, kustosza; braciszka Bogusława, lektora Braci Minorytów; tudzież wobec bardzo wielu innych zakonnych i świeckich księży, oraz wobec wielu szlachty i innych godnych ludzi.“

Dopiero po ułożeniu tego aktu rozpoczęto budowę klasztoru.

Chociaż zakonnice Ś-tej Klary i Ś-ta Kinga w r. 1287 mieszkały już w Starym Sądczu, nie była ta budowa ukończoną jeszcze zupełnie. Wiadomo bowiem z dziejów i po dziś lud tamtejszy opowiada, że podczas nowego w tymże roku najazdu Tatarów na Polskę, zakonnice sandeckie schroniły się z dotychczasowego mieszkania w mieście na zameczek w Pieninach. Nie byłoby to pewnie nasąpiło, gdyby ukończone już mury klasztorne, te zwyczajne twierdze onego czasu, mogły były udzielić zakonnicom warowniejszej niż zameczek pieniński ochrony. Podobnież i przyjęcie zakonu przez owdowiałą księżnę krakowską ociągnęło się do nieco dłuższego czasu. Być może, iż jeszcze za życia męża, a zwłaszcza bezpośrednio po owdowieniu, przybrała Ś-ta Kinga obyczaje klasztorne; lecz zakonnicą w właściwem słowa tego znaczeniu jeszcze wówczas, zda się, nie była. Nie znachodzimy bowiem żadnej o tem wzmianki w przytoczonym akcie fundacyi. Przeciwnie, czytamy w nim o utrzymywaniu jeszcze osobnego przez księżnę dworu, opędzanem dochodami z reszty niedarowanych włości ziemi sandeckiej, roz-

ciągającej się znacznie po tamtę stronę gór, w granicę Spiżu, jak również ową na cle w Starym-Sądczu zastrzeżoną intratą 200 grzywien, co równało się około 15 tysiącom złotych polskich. Natomiast w latach następnych, kiedy Kinga istotnie zakonny wiodła już żywot, wydawane przez nią dokumenta używają stale wyrażenia, jakich nie znajdujemy w przytoczonym z r. 1280, naprzykład: „My Kunegunda, wdowa po książęciu krakowskim Bolesławie, pani sandecka, w zakonie Ś-go Franciszka poświęcona służbie Bożej.“

Im dłuższych przygotowań wymagało utworzenie klasztoru i przywdzianie szaty zakonnej, tem godniejszą wdzięczności, bo trudniejszą do spełnienia, okazuje się położona obojgiem zasługa Kingi. Przyniosła ona mnogie całej krainie przyległej dobrodziejstwa. Jednem z głównych było przejście zapisanych klasztorowi włości sandeckich z pod prawa książęcego do swobody dóbr kościelnych, które używały, jak wiadomo, nierównie pomyślniejszej niż świeckie doli. Dalej, przybyły całej, rozległej okolicy połączone zwykle z klasztorami zakłady dobroczynne, udzielające pomocy w chorobach i kalectwach, a przytułku ubóstwu. Dobrodziejstwem też były pomyślne skutki właściwej ówczesnym klasztorom staranności i pracy około użyznienia i przyozdobienia ziemi klasztornej, zwilżonej niebawem takiemi umiejętnie skierowanemi strugami, zakwitającej wnet niejednym z takich miodonośnych gajów lipowych, jakiemi według podania obdarowała Ś-ta Kinga nową osadę klasztorną, zaszczepiając swoją rózgę lipową w grunt jałowy, sprowadzając w bezwodne okolice klasztoru „dziwnym sposobem, przez pagórki, aż w sam klasztor, strumień Przesiecznicę, który do tej pory potrzebom miejsca tego hojnie wody dodaje.“

W ten sposób ubłogosławiona okolica klasztoru stawała się wreszcie celem częstych, świątecznych i odpustowych, pielgrzymek, za pomocą których jej wpływ zbawienny rozlewał się szeroko po całej ziemi sąsiedniej. Jednem słowem — powiada przytaczany dziejopis — tysiączne promienie pociechy, pomocy, obyczajności, uzamożnienia i okrasy żywota tryskały z ogniska nowozałożonej osady klasztornej, a wyświtająca z nich nieznacznie zorza oświaty otoczyła już za życia jej twórczynię, Kingę, światłokręgiem Świętych który po trzech wiekach uwieńczył zgasłą na ziemi w lat 12 po założeniu klasztoru.

Religijna strona pamięci Kingi znalazła w pobożnem uczuciu całego narodu cześć i uwielbienie. Poświadczone onemi pomnikami świeckie jej zasługi są dostatecznie jawne i wielkie, żeby i księga dziejów wymowniejszą niż dotychczas oddawała jej chwałę.

Kończąc rzecz naszą o Ś-tej Kindze dodamy, iż czczoną jest ona szczególnie przez górali, zamieszkujących malownicze Pieniny — wśród tych gór bowiem, w południowem zboczu doliny Pieńskiego potoku, on-

gi chronić się miała przed nawałą tatarską, w zamku tamtejszym, którego szczątki widnieją dotychczas. Gdy w r. 1892 przypadła sześćsetna rocznica jej zgonu, Stary Sądcz obchodził tę rocznicę niezwykle uroczyście, z udziałem kroci ludu oraz znakomitych przedstawicieli Kościoła i kraju. Jubileusz postanowiono upamiętnić jakąś budową, wzniesioną na gruzach zamczyska. Wzięto się do dzieła energicznie i oto w miejscu, gdzie istniała brama zamkowa, wykuto obszerną grotę, w niej zaś ustawioną piękną figurę kamienną Ś-tej Kingi, wyciosaną przez artystę-rzeźbiarza, p. Władysława Druciaka. Poświęcenie groty i posągu odbyło się w roku bieżącym, dnia 28 lipca.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy tę pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

W Azyi: Korea, Chiny.

Nazajutrz 11 czerwca rano długo czekać przyszło na tragarzy i konie. Nareszcie mamy ruszać. Wiele osób zebrało się przed trybunałem, aby mnie zobaczyć. Znajomi życzą szczęśliwej podróży; siadam do lektyki zamkniętej jak klatka, nawet firanki spuszczają, dwaj tragarze niosą mnie, jesteśmy już w drodze. Przez szczeliny widzę długą ulicę, ciągnącą się jak oko zajrzy; po obu stronach domy słomą pokryte, małe, nizkie, jak dla bobrów. Nikt na nas nie zważa, bo w stolicy oswojono się z widokiem mego otoczenia. Mijamy bramy miasta, kilku siepaczy odchodzi, a my idziemy dalej aż do wioski, w której mały przystanek. Tu pozwalają mi wyjść i przypatrzeć się naszej karawanie.

Po niedługim odpoczynku przybył niższy Mandaryn konno, wraz z dwoma siepaczami, którzy mają nas odprowadzić do granicy. Mogłem teraz oddychać czystem wiejskiem powietrzem, odświeżyć płuca po pięciomiesięcznych zatrutych wyziewach więzienia. Śliczne są okolice Seul. Lekkie wzgórza dokoła, w głębi wysokie szczyty, między nimi wznosi się góra Koksan, zieloność pola, gaje, lasy. Wchodzimy w ciasny skalisty wąwóz, pokryty drzewami; droga ta jest dziełem samej tylko natury, jak i wszystkie inne w tym kraju.

Koło południa przybywamy do Ko-yan, miasteczka o 40 lis (4 mile, od stolicy odległego, gdzie mnie zaszczyca swemi odwiedzinami miejscowy mandaryn, a w jego ślady idzie cała ludność. Po południu robimy znowu 40 mil i dochodzimy nareszcie do miasteczka Po-tju na noc.

Podróż staje się jednostajną. W Po-tju zastaliśmy żołnierzy ćwiczących się w strzelaniu z łuku; wszyscy odwiedzili mnie, rozmawiając do późnej nocy. Nazajutrz podano mi wody do umycia w granitowej płycie, wyżłobionej jak miska, z otworem do jej wypróżnienia i sól do czyszczenia zębów. Obchodzono się ze mną dobrze i przez ca-



Chiny. Misyonarz przed podróżą, żegnany przez chrześcijan chińskich.

łą drogę karmiono dostatecznie. Zazwyczaj rosół z ryżem, jaja rozmaicie przyrządzone, mięso wołowe lub wieprzowe, warzywa, konfitury i inne nieznane mi potrawy.

Podziwiałem tego dnia dwie kolosalne statuy: są to dwie skały, sterczące prostopadle w środku góry; ociosano je dość zręcznie; z daleka malowniczy przedstawiają widok. Jedna grubszej roboty przedstawia, jak powiadają, Korejczyka z dawnych czasów; druga form okrąglejszych ma być tegoż małżonką. Nazywają je olbrzymami, a datują je jeszcze z czasów dynastyi Karli albo Kori, skąd „Korea“ nazwisko swoje bierze.

Przybyliśmy do fortecy Im-lim, zbudowanej na wzgórzu, u stóp którego płynie rzeka tegoż nazwiska.

Mieliśmy nocować w Syong-to albo Kaj-seng, stolicy Korei za dynastyi Kaolich. W XIV wieku upadek dynastyi mongolskiej w Chinach spowodował upadek i dynastyi hołdowniczej Kaolich w Korei. Tai-to Li-tan nazywany od Chińczyków, protegowany przez dynastyę Ming, która zrzuciła Mongołów, zawładnął Koreą w 1392 i założył dynastyę dotychczas panującą Czi-czien (Tyos-yen). Nowi władcy Chin zaprowadzili w Korei chronologię i kalendarz chiński. Tai-tso porzucił Syong-to (Kai-seng) dotychczasową stolicę a przeniósł ją do Sta-niang (Seul); podzielił kraj na 8 prowincyi, system rządów i administracyi, który ustanowił, trwa do dni naszych. („Historya kościoła Korei“ przez X. Dallet, przedmowa p. XIII).

Widzieliśmy po drodze wielkie groby, mosty kamienne, zwaliska świadczące o dawnej wspaniałości starej Kaolich stolicy; jest to jeszcze najhandlowniejsze miasto Korei. Mieszkańcy Syong-to pogardzani są przez dziś panującą dynastyę Tyos-yen, która tylko opiekuje się rolnictwem.

Przebiegaliśmy długą ulicę handlownego miasta; po obu jej stronach wystawione są najróżnorodniejsze okazy przemysłu ośmiu prowincyi i składy towarów europejskich, do Chin przeznaczonych. W tej ulicy, a raczej w tem mieście, wszystkie domy są składami towarów, mieszkańcy roznoszą przedmioty swego handlu, śpiewając na rozmaite tony. Skoro przybyliśmy do murowanej bramy, rozeszła się już była wiadomość o nas; tłumy ciekawych nas otoczyły, zaledwo przejść można, siepacze i żołnierze starają się zrobić nam miejsce wśród ludności ciekawej, ale przychylnej. Mieszkańcy wydają się być łagodnego usposobienia, porządnie a nawet bogato odziani.

W niedzielę, 16 czerwca, przybywamy do Thyang-hoa, pierwszego miasta prowincyi Hpyeng-an o 52 mil od Seul. Mowa tu już nieco odmienna. Nazajutrz przybyliśmy do Hpyang-yang. Jest to stolica tej prowincyi otoczona murami, wznosi się na prawym brzegu spławnej rzeki Tai-tong-hang (wielki zbiór wód). Wielkie statki z Seul wyładowują tu swe towary. Mieszkańcy tutejsi są hałaśliwi i zuchwali, oni to spalili małą amerykańską galerę, rozbitą na brzegach, a załogę wymordowali; oni także chcieli wypędzić Francuzów z Koang-ha. Ożywiony handel przypomina żywo kupiecką żyłkę semickich pokoleń.

Po długiej dolinie, przecinanej wzgórzami, przybywamy po nad rzekę Tai-tong-hang, po której długie przewożą nas tratwy. Ciemną a potężną bramą wchodzimy do miasta. Zaledwie mnie poznano, zrobił się hałas i natłok nie do opisania, tak, iż nawet niepodobna dalej

postąpić. Ponieważ nie mogli mnie zobaczyć w mej klatce tak, jakby tego pragnęli, poczęli krzyczeć ze wszech stron:

— Odkryjcie zasłonę! musimy go widzieć, musimy go widzieć!

W jednej chwili zrywają firanki, tłum się powiększa, mandaryn krzyczy, o mało, że gardła sobie nie zerwie, ale głos jego ginie w hałasie, jak wystrzał jednej rusznicy pośród huku dział; siepacze na prawo i lewo wywijają swoimi kijami i to nie po samem-li tylko powietrzu, ale i po spiczastych kapeluszach natrętów i po niezliczonych palcach, które należały do wzniesionych w górę, a żywo machających rąk. Idziemy tak na przebój aż do zabudowań trybunalskich. Odetchnęliśmy, kiedyśmy stanęli w tym przybytku korejskiej sprawiedliwości, ale nas i tutaj grubo omyliła zwodnicza nadzieja spokojnego schronienia. Tłum wdarł się za nami; przenoszą mnie na inne miejsce, ale i tu pełno. Trzy godziny trwa zamieszanie, aż wrzeszcie zamykają mnie w izbie. Po zamknięciu następuje teraz prawdziwe oblężenie.

— Czemuż go odsyłają, dochodzi mnie wołanie, lepiej było go zabić. Cóż to rząd myśli, czy już niema dzielnych ludzi w stolicy, trzeba go zabić.

— Ej, dajcie spokój! Wszakże syn nieba rozkazał, aby go odesłano, a nawet polecił, aby się z nim dobrze obchodzono. On używa wielkiego poważania i w swojej ojczyznie i w Chinach. To wielka osobistość. Sam cesarz chiński rozkazał, nawet przysłał umyślnego posłańca, aby się upomniał o niego.

Te ostatnie słowa uspokoiły trochę wzburzoną ludność, tak wielkie poważanie mają w Korei dla cesarza chińskiego. Siepacze przyczynili się także do uśmierzenia wzburzenia, ścisłe pod tym względem mając rozkazy od rządu. Pół dnia zatrzymaliśmy się w Tyang-hoa. Nasz mandaryn przywdział żałobę po królowej Kim. Wieczór przeszedł spokojnie; kilka osób obwiedziło mnie, ale za to nazajutrz przy wyjeździe hałasy na nowo się powtórzyły.

Koło 11 godziny dopiero, skoro mandaryn ukończył swoje sprawy, już nie wiem w jakim trybunale, puściliśmy się w drogę. Od Tyanghoa aż do granicy chińskiej, często spotykaliśmy wozy, co rzadkością jest w Korei. Są one ogromne i grubej roboty, do dyszla przytwierdzone jarzmo za poruszeniem spada na kark wołu i to zastępuje uprząż. Spotykaliśmy często kuryerów rządowych, pełniących służbę między granicą a stołecznem miastem. Na małych koniach, dywanik zamiast siodła służy, strzemiona słomiane wiszą na plecionkach z tegoż samego materyału; zawsze galopują, na trzy dni przebywają 109 mil franc. Woły korejskie są pięknej rasy, duże, silne, dobrze żywione; konie nie są wielkie, ale wytrzymałe. Robiliśmi po 8, czasem 10, a nawet 12 mil dziennie.

Raz podczas popasu poszedłem przypatrzyć się posągom pagody na wierzchołku pagórka leżącym. Wtem z domu, do którego poszli na wypoczynek moi tragarze, wychodzi siwy staruszek.

— Jakto? — zawołał — on tu jest? ależ to święty! Od tak dawna pragnę widzieć jednego z tych ludzi!

Nareszcie biegnie ku mnie jak może, ściska mi ręce i woła:

— O, ja już słyszałem o was! Jakże pragnąłem widzieć twoje oblicze! Co to za radość na moje stare lata! Mogę już umierać, kiedy widzę jednego z tych świętych ludzi, co wszystkiego się wyrzekli, a podjęli tak mnogie trudy i niebezpieczeństwa, aby nam wzniosłą przynieść naukę. Zaprawdę, to są święci, a ja stary widzę twarz świętego.

Zwracając się zaś do tragarzy, dodał:

— To święty człowiek; takich nie ma u nas, on nie przyszedł tu, jak mylnie niektórzy twierdzą, aby kraj nasz opanować; on i uczniowie jego nie mają innego celu, jak oświecać nas, a my ich za to zabijamy; w stolicy więżą ich i na śmierć skazują! O, biada nam i krajowi naszemu za śmierć tych, co nam dobrze czynią! Co za gwałt, jaka to niesprawiedliwość! Ci nic nikomu nigdy złego nie czynią, a wszystkie cnoty ich zdobią! O, jak zaślepiony i okrutny jest nasz rząd.

Opowiedział mi, że urodził się na wyspie Tyinto w południowo-zachodniej Korei, widywał dawniej zakonników europejskich a od kilku lat przeniósł się w te strony, miał 72 lat i pragnął poznać naukę chrześcijańską. Nie było czasu na długie wywody, krótko tedy powiedziałem mu, że wiara nasza uczy nas poznawać Boga, Ojca naszego, cześć mu oddawać, uczy jak strzedz się złego, a wypełniać dobre, i że nam za to żywot wieczny zapewnia; nie jestem wolny obecnie, rząd mnie uwięził, a teraz wysyła na wygnanie i nie dozwala pracować tak, jak pragnę dla dobra tego kraju; niech szuka tych, co go oświecić mogą.

— Jaka to klęska dla nas! — wołał ze łzami w oczach. Jak może tak szalony być nasz rząd, żeby wyganiać tych, co nam szczęście przynoszą! Chodź, spocznij chwilkę w moim domu, będzie to błogosłasławieństwem i dla mnie samego i dla mojej rodziny. Taki jesteś zmęczony, pójdź do mnie, ja mam trochę wina.

— Wina nie piję!—odrzekłem na to serdeczne zaproszenie;—oto i mandaryn, nie chcę być przyczyną twego nieszczęścia. Bądź spokojny, widok twój i twoje słowa są mi pociechą w troskach, nie zapomnę o tobie i modlić się za was będę. Szukaj chrześcijan, którzyby cię nauczyć mogli.

Tyle tylko mogłem mu powiedzieć; musiałem się usunąć, gdyż mandaryn nadchodził, a starzec nie ustawał w pochwałach, bo choć mnie nie znał, oddawna słyszał o naszej religii, o naszych towarzyszach

i naszych męczennikach. Pocieszyło mnie, ale i zasmuciło zarazem to spotkanie. Czemuż, myślałem sobie, muszę opuszczać ten kraj, w którym tyle już dobrego jest usposobienia!... Nie spotkałem chrześcijan, zresztą i nie mógłbym ich w tłumie odróżnić, roztropność nakazywała im unikania wszelkich oznak zewnętrznych.

Z daleka obaczyłem wysokie wzgórza, gdzie było nasze Kollegium, a w nim może i ks. Robert; w tej okolicy jest nawet kilka chrześcijańskich wiosek. Widziałem także wysoką górę Ku-owel (góra złego księżyca), gdzie sądziłem, że jest ukryty O. Domet. Przesłałem serdeczne błogosławieństwo tym kochanym misyonarzom tak młodym, a już narażonym na tyle trudów, umartwień i niebezpieczeństw.

Minąwszy powiaty Sijen-Czyjan i Tyelsan, spotykamy w Nijong-Czyjen, czekających już na nas od paru dni, dwóch tłumaczy do języka chińskiego. Zaraz do mnie przybyli, oznajmiając, że rząd korejski wysłał ich dla oddania mnie władzy chińskiej. Opowiadali mi o Pekinie, który dobrze znali, służąc corocznie za tłumaczy ambasadorom korejskim. Będąc jeszcze o dziewięć mil od Eityon, ostatniego korejskiego miasta, puszczamy się w dalszą drogę. Około wieczora z wierzchołków gór spostrzegamy graniczną rzekę, a po za nią góry chińskiego terytoryum.

Mandarynat był na drugim końcu miasta. Z początku spokój panował, ale później, pomimo przedsięwziętych ostrożności, poznano mnie; 30 z górą siepaczy nie zdołają powstrzymać licznie zewsząd nadciągającej ludności; już i mandarynat oblężony. Wszyscy urzędnicy odwiedzają mnie, a nawet sam mandaryn przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie.

Ei-tjon jest wielkiem miastem, zbudowanem na pochyłości wzgórza. Z jednej strony osłaniają je góry, pokryte sosnowym lasem, z drugiej oblewa je rzeka Ap-nog-kang, a po chińsku Ya-hi-kiang (rzeka zielonej kaczki); w tem to mieście przytrzymano naszych posłańców, a jeden z tłumaczy powiedział mi, że więziono tu jeszcze trzech chrześcijan.

Nazajutrz widziałem się z owym mandarynem, który mnie konwojował od stolicy i którego misya już się tu kończyła. Podziękowałem mu za staranie, które miał o mnie w czasie podróży; rozstając się z nim po przyjacielsku życzyliśmy sobie nawzajem wszelkich pomyślności. I miejscowy mandaryn przyszedł, aby zapytać się, jak się miewam, czy noc dobrze przespałem, oraz aby mi złożyć życzenia szczęśliwej podróży. Z mej strony życzyłem mu nawzajem spokoju i pomyślności, obiecując zachować dobre wspomnienie wyniesione z jego miasta, jakoteż, że Korei nigdy nie zapomnę.

Jak wczoraj przy wejściu do miasta, tak dzisiaj przy wyjściu, mnóstwo zebrało się ludzi. Widząc, że siepacze kijami rozpędzają zbiegowisko, poprosiłem mandaryna, aby zabronił swoim siepaczom bić ludzi, którzy chcą mnie widzieć.

— Nie bijcie! krzyknął natychmiast—nie bijcie nikogo!—Europejczyk nie chce, żeby kogokolwiek uderzono.

Ruszamy wśród natłoku do wielkich łodzi, stojących na rzece. Ciekawy widok przedstawiał lud cisnący się u brzegów. Dzieci, nie wiele myśląc, wskakują do wody, aby się do mnie zbliżyć, otaczają nas i uśmiechając się mile, pokazują śliczne swoje białe ząbki. Inni wskakują w łódki wyżłobione z jednego pnia, zręcznie kierując niemi poruszają, a cały ten lud jest moim ludem, i to są moje dzieci. Pan nasz Jezus Chrystus powierzył mi go i oddał za pośrednictwem Pasterza naszego, a ja je opuścić muszę.

Płyniemy spokojnie do pierwszej wyspy, wielkie korejskie łodzie żeglują swobodnie po rzece; na drugim brzegu spostrzedz już można wielkie chińskie łodzie, które *dżonkami* nazywają. Po przeprawieniu się, spojrzałem na ten piękny kraj, na moją drogą misyę. Oczom naszym przedstawił się prześliczny krajobraz, który zdawał się ostatni uśmiech przesyłać swojemu biskupowi, niestety już wygnańcowi. Z głębi mojego rozrzewnionego serca pobłogosławiłem mojej owczarni i pożegnałem ją słowy: — „Do widzenia, daj Boże, jak najrychlej!

Z pierwszej wyspy udaliśmy się na drugą, skąd musieliśmy przebyć jeszcze trzy inne ramiona tej rzeki. Tę wyspę zamieszkują Chińczycy; Korejczycy przybywają tu tylko po drzewo i na sianożęcie. Od niedawna dopiero zamieszkano ten grunt; przed paru jeszcze laty stanowił on pustynię graniczącą z Koreą. Rząd chiński sprzedał grunta, a dziś jest tu już mnóstwo małych domków; mieszkańcy wycięli, spalili i wykarczowali lasy, a wkrótce będzie to nowa bogata prowincya.

Po przebyciu sześciu mil przybywamy do Siek-su, gdzie miejscowy zarządca ma dom, służący zarazem za gospodę dla podróżujących do Pijen-men. I nam wypadło tu stanąć. Mandaryn rozłożył przede mną pudełeczka z konserwami, nie dałem się długo prosić; zimny ten obiad wydawał się strudzonemu i wyposzczonemu przedziwnym. Wieczorem, tego dnia jeszcze, zrobiliśmy 6 mil, a na nocleg stanęliśmy, po 14-dniowej podróży, 24 czerwca, w Pijen-men, gdzie Korejczycy mają wielki skład. Mnóstwo tu urzędników, kupców i faktorów. Dom, w którym noc przepędziliśmy, wydał mi się wielkim składem towarów z Pekinu, przeznaczonych na uszczęśliwienie Korei. Chińskie miasto Fu-hoang-czang, gdzie polecono mnie oddać władzom chińskim, jest stąd tylko o trzy mile oddalone. Nazajutrz, odbywszy szczęśliwie drogę, zostałem tam istotnie odstawiony z całem mojem otoczeniem. Stanąwszy

w oberży, miałem czas rozmówić się z moim mandarynem podczas wyczekiwania na postanowienie władz chińskich, zbyt powolnych w takich razach. Kilku Chińczyków przypatrywało nam się, sądzili oni, że jestem jakim koreańskim dygnitarzem.

Koło południa wracają nareszcie nasi dwaj tłumacze, oznajmiając, że chińscy mandaryni przyjmują mnie i odprowadzą do Mukdenu, gdzie zastaniemy już Europejczyków, którym będę oddany. W Sja-men dopełniono obustronnie wszystkich potrzebnych formalności, spisano akta i oto — już jestem pod opiekuńczem skrzydłem władz chińskiego cesarstwa.



Chińczycy-chrześcijanie prowincyi Kuj-czeu.

Przy pożegnaniu, jak się można było spodziewać, posypały się jak grad koreańskie grzeczności i życzenia, na które odpowiedziałem jak najuprzejmiej. Tłumacze spodziewali się, że się jeszcze zobaczymy w Pekinie; ja nie obiecywałem. Chciałem dać cośkolwiek tragarzom, którzy mnie nieśli, ale nie miałem ani jednej sapeki; prosiłem tedy małego mandaryna, Chińczyka, o pożyczenie mi pary ligatur, lecz i tych nie mogłem otrzymać. Skoro mnie Chińczycy wprowadzili w jakiś przybytek, nakształt izby, wziąłem się zaraz do mojej metamorfozy. Tupet

korejski zastąpiłem chińskim warkoczem, przywdziałem własną czarną sutannę, wydobytą z moich kufrów, a ponieważ od rana nic jeszcze w ustach nie miałem, czekałem, żeby mi też przecie dano się czem pożywić. Ale gdzie tam! Proszę tedy Chińczyka, który był niby dozorcą, aby mi dał czemkolwiek się posilić. Co sądzicie, gdzie pobiegł po posiłek dla mnie? Odpowiedział mi z najzimniejszą krwią, że już minęła obiadu godzina i zaczął sobie grać na skrzypcach, ale tak harmonijnie, że wszystkie koty przedmieścia poczęły nielitościwie miauczeć.

Nazajutrz znowu siadaj, jednak już nie w lektykę, ale na wóz. Obok mnie usiadł mój opiekuńczy mandaryn, a w około nas postępuje 10 do 12 żołnierzy. Droga skalista, a wóz tak trząsł niemiłosiernie, jakby wszedł z Chińczykami w zmowę, aby mnie roztrząść, zanim stanę u celu.

W pięć dni potem, a było to w niedzielę, 30 czerwca, przybywamy do Mukdenu. Znowu długie następują porozumienia, a ja czekam na wózku na ulicy; nie dziw zatem, że mnie otoczyły ciekawe, lecz spokojne tłumy. Utrzymywano, że jestem Anglikiem, choć nadaremnie zaręczałem im, żem Francuz. Wśród cisnących się widzów znalazł się i młody Korejczyk, który mi wprzód za tłumacza służył. Stajemy w oberży, mandaryn zbliża się, wyciąga rękę i mówi do mnie po angielsku: *Yes*. Ściskamy się po angielsku, a on, chcąc się popisać głęboką znajomością anglo-saksońskiej mowy, wylicza mi, i to na palcach liczebniki główne, tak jak po sobie następują; a na samym końcu zapytuje:

— Czy jesteś Anglikiem?

— Nie, jestem Francuzem. Tu musi być gdzieś kościół katolicki i misyonarz, chciałbym się z nim widzieć.

Posłano po niego i wnet przybył. Kiedy go wprowadzono do izby, w której się znajdowałem, poznałem w nim O. Chevalier, którego przed paru laty widziałem u Matki Boskiej Śnieżnej. Jakże się ucieszył, oczom swoim nie chciał wierzyć; zdaje się, że rozgłoszono już o mojej śmierci. Mandaryn zapytał go:

— Czy znasz tego misyonarza? Czy to Francuz?

— Ale tak jest — odrzekł — tak samo Francuz, jak i ja.

— Czy chcesz się podjąć opiekowania się nim i odpowiedzialności za jego osobę?

— Jak najchętniej.

— No, to możesz go wziąć z sobą.

Oddany w ten sposób O. Chevalier, począłem po sześciomiesięcznej niewoli znowu kosztować, co to jest wolność.

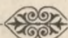
Pilno mi jednak było udać się do Matki Boskiej Śnieżnej. 4 lipca wieczorem pojechałem do Cza-hing, chcąc zrobić niespodziankę O. Boyer.

Nazajutrz odwiedziłem ks. Riffard i O. Chevalier. 6 lipca ruszamy w drogę, ks. Riffard konno, a ja wózkiem. Przed Ing-cze ks. Riffard wyprzedza mnie z zapowiedzią mego przyjazdu. Nie długo czekałem, aż oto misonarze konno jadą na moje spotkanie. Wjeżdżając do miasta, spostrzegam kawalkadę, do której przyłączyło się kilku europejskich kupców. Niepodobna opisać ogólnego zdziwienia i radości. Przed dwunastu laty prawie w takich samych okolicznościach przybywałem do brzegów Czifu, 6 lipca, w przeddzień moich urodzin, a w uroczystość Ś-go Feliksa Nantejskiego, mego patrona. Ks. Dubail, przełożony misyi mandżuryjskiej, ogłosił solenne nabożeństwo z błogosławieństwem najświętszego Sakramentu, na podziękowanie Panu Bogu za moje uwolnienie. Z jakąż radością błogosławiłem obecnych; piastując w ręku Zbawiciela naszego, myślałem o krewnych i przyjaciołach. Niepdobna mi opisać dowodów przywiązania i radości, które mi składali nasi współbracia i liczni rezydenci europejscy.

Trzy dni zatrzymałem się w Ing-czi, a 10 lipca w towarzystwie księży Dubail, Raguit i Laloyer, udałem się do Ijang-knem, gdzie uprzedzony listem z Nin-czuang ks. Richard, już przybył na powitanie. 12 lipca stanęliśmy u Matki Boskiej Śnieżnej. Na jakie 2 kilometry do wsi, spotkaliśmy witający mnie poczet dzieciaków z chorągiewkami na wózkach, kawalerzystów z fuzyami przez plecy i t. p. Był i dla mnie osobny wózek; wsiadam nań, a cały pochód z muzyką rusza wśród tłumu ciekawych pogan. Na wstępie do wsi przywdziewam komżę, a cała ta procesya urządzona przez księży Mutel i Liouville, wchodzi do kościoła, gdzie po odśpiewaniu dziękczynnego *Te Deum,* udzieliłem pobożnie pochylonemu zgromadzeniu wiernych błogosławieństwa.

I oto tutaj koniec tej mojej podróży. Gwałtownie rozłączony od moich czterech misyonarzy korejskich, zastałem tu trzech innych, gotowych mi pomagać, skoro tylko nadejdzie chwila, obmyślona przez najmiłosierniejszą Opatrzność Bożą; zmieniłem wprawdzie miejsce pobytu, ale zastałem tę samą rodzinę, bo wszyscy korejscy misyonarze stanowią jedną rodzinę i żyć będą, jak dotychczas tak i nadal, w jedności i miłości Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków. Amen.

(D. c. n.)





Historya kongresów Maryańskich krótka, bo dopiero 9-letnia, ale już bogata w skutki, czego dowodem ogólne zajęcie, jakie obudziły w świecie katolickim, i coraz częstsze ich zwoływanie.

Myśl urządzenia tych zebrań wyszła od ks. Maryi Dominika Sire, ze zgromadzenia Sulpicyanów; on to w r. 1893 poruszył, wraz ze swym dawnym kolegą seminaryum, kardynałem Lanżenje, Arcybiskupem w Rejms, myśl zwołania kongresu. Pierwszy kongres Maryański odbył się w sierpniu r. 1895, dzięki staraniom Biskupa Leopolda Franchi'ego w Livorno. Leon XIII przesłał kongresowi obraz Matki Bożej i wiersz, umyślnie na tę uroczystość ułożony przez siebie. Zarówno jednak ten, jak i dwa następne kongresy: we Florencyi (r. 1896) i w Turynie (r. 1898), miały charakter wyłącznie włoski i stosunkowo mało uwagi zwróciły za granicą.

Następny kongres odbył się w Lugdunie (Lyonie), we Francyi, od 5-go do 8-go września r. 1900; uświetniła go koronacya statuy cudownej Najświętszej Maryi Panny na Fuwjer, wobec 3 kardynałów, około 30 biskupów i tysięcy wiernych. Jedna z uchwał tego kongresu wyraziła życzenie, aby on był pierwszem ogniwem w szeregu podobnych zebrań.

W myśl tej uchwały, redaktor świeżo założonego w Blua pisma w języku francuskim „Głos Maryi" wystąpił z projektem zwołania kongresu Maryańskiego w r. 1902 do Fryburgu, co też, przy gorliwem poparciu osób wpływowych, doszło do skutku [1]. Na kongresie frybur-

[1]) Na tym to kongresie wydawnictwo „Dzwonka Częstochowskiego" odznaczono medalem złotym.

skim postanowiono zbierać, od czasu do czasu, kongresy narodowe, pożegnano się zaś słowami: „Do widzenia w r. 1904, w Rzymie“, gdzie od 30 listopada do 4 grudnia ma obradować wielki kongres światowy, zwołany przez Leona XIII, a zatwierdzony przez Jego Następcę, Piusa X. Komitet kardynałów wydał odezwę do narodów katolickich, aby urządziły kongresy miejscowe, jako przygotowanie do kongresu rzymskiego. Życzenie Rzymu było i jest rozkazem dla kraju, który w swem haśle ma przekazane od wieków wyrazy: „Polonia semper fidelis“ („Polska zawsze wierna“). W czerwcu r. 1903 liczne grono księży Moderatorów i wysłańców niemal wszystkich Sodalicyj Maryańskich przyjęło z zapałem myśl, podaną przez lwowską Sodalicyę: zwołania do Lwowa 1-go kongresu polskiego ku czci Niepokalanego Poczęcia.

J. E. Arcybiskup lwowski ks. dr. Józef Bilczewski listem pasterskim „O czci Najświętszej Maryi Panny” zwołał kongres na dni 28 i 29 września i stanął na jego czele, prace zaś wykonawcze oddał w ręce Sodalicyom Maryańskim.

Stary gród Lwów, wybrano odpowiednio na miejsce kongresu, wyróżniał się on bowiem od wieków szczególną czcią dla Najświętszej Maryi Panny, jak to stwierdzają liczne Jej wizerunki histostoryczne w kościołach tamtejszych, o czem zebranym na kongresie przypomniał, w pięknej swej mowie, prezydent miasta dr. Godzimir Małachowski, o czem rozpisały się obszernie lwowskie dzienniki katolickie, za któremi powtarzamy najważniejsze szczegóły.

W głównym ołtarzu archikatedry rzymsko-katolickiej panuje obraz cudowny Najświętszej Maryi Panny Łaskawej. Namalował go w roku 1598 geometra lwowski Józef Wolfowicz w żałości za zmarłą swą wnuczką, Domagaliczówną, pod natchnieniem szczególnem, gdyż poprzednio nigdy nie brał pędzla do ręki.

Obraz pierwotnie był umieszczony na zewnętrznej ścianie katedry, nad grobem zmarłej dzieweczki. Światłość nadzwyczajna niebawem odznaczyła ten pomnik, obraz, otoczony czcią powszechną; zasłynął cudami, co skłoniło Jana Domagalicza do wybudowania, w r. 1645, kaplicy maluchnej, ale jakby skarbnicy, wypełnionej złotem, srebrem i klejnotami, a nazywanej „klejnotem miasta.“ Na bogactwa te złożyły się wota wysłuchanych przez cudowną Panienkę.

O jakiejkolwiek porze nocy szedł ktoś, w owych czasach, z Rynku w stronę Przedmieścia Halickiego, uderzał go czarowny blask, idący z wiecznie oświetlonej kaplicy, dochodził odgłos hymnów, śpiewanych w kaplicy.

W d. 1 kwietnia r. 1656, kiedy Polska, zalana „potopem“ wrogów, ograniczała swą obronę niemal tylko na murach Lwowa, przed tym cudownym obrazem, przeniesionym do katedry, król Jan Kazimierz, zło-

żywszy berło i koronę, wypowiedział swą wiekopomną pozysięgę, ślubując przed cudownym obrazem, iż będzie pomnażał i utrzymywał „cześć i chwałę Matki Bożej, cześć i chwałę Chrystusową“, obiecując i przyrzekając, iż ze wszystkiemi stanami, po przywróceniu pokoju, użyje wszelkich środków dla odwrócenia nieszczęść od narodu i „postara się, aby lud królestwa od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków był uwolniony.“

Ten to obraz d. 12 maja 1776 r., śród wspaniałych uroczystości, uwieńczono koronami rzymskiemi.

W kościele OO. Dominikanów znajduje się obraz Matki Boskiej Różańcowej, malowany na desce cyprysowej, pochodzenia bizantyńskiego. Według podania, podarował go OO. Dominikanom książę ruski Lew w r. 1270. Obraz ten ukoronowano w r. 1751 z niesłychaną okazałością; ku upamiętnieniu tego zdarzenia wzniesiono kolumnę, istniejącą do dziś dnia na opustoszałym cmentarzu gródeckim przy ul. Szeptyckich, wydano olbrzymi foliał p. n. „Hasło Słowa Bożego“ ze sztychami Jerzego Wyszlowskiego, wybito medale pamiątkowe, ze złota, srebra i miedzi, wielkości: talarów, półtalarów, tynfów i szóstaków. Cuda tego obrazu opowiada pieśń starożytna, zaczynająca się od słów:

„Najświętsza Niebios i ziemi Królowa,
Dziedziczna Pani stołecznego Lwowa“...

W tymże kościele znajduje się też bardzo starożytna, jako zabytek sztuki niesłychanie ciekawa, statua alabastrowa Matki Bożej „Jackowej“, tak nazwanej dlatego, że przywiózł ją do Lwowa ś-ty Jacek Odrowąż (w r. 1238).

O obrazie Matki Boskiej Pocieszenia w kościele OO. Jezuitów, obecnie ukoronowanym, kronika klasztorna wspomina już od r. 1636.

U Karmelitów znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Szkaplerznej, przeniesiony tam w r. 1789 z dawnego, nieistniejącego dziś, klasztoru Karmelitów przy dzisiejszej ul. Batorego.

W kościele ś-tej Anny jest wreszcie cudowny obraz Matki Boskiej, podobno Loretańskiej.

W katedrze obrządku wschodniego ś-go Jura słynie cudowny obraz Matki Boskiej Trębowelskiej, przeniesiony do Lwowa w r. 1673 przez biskupa Szumlańskiego, malowany na drzewie w stylu bizantyńskim.

W katedrze ormiańskiej znajduje się obraz Matki Boskiej Jazłowieckiej, również w stylu bizantyńskim, o którym wzmianki są już od r. 1424.

Ciekawe jest także podanie, o którem wspomina poeta Zimorowicz (na podstawie starego rękopisu), że obraz Matki Boskiej Częstochowskiej,

przed przeniesieniem go na Jasną Górę, przez długie lata przechowywany był we Lwowie. [1])

Z dumą szlachetną, rozsadzającą piersi, możemy stwierdzić i przypomnieć całemu światu, że w sprawie ogłoszenia Dogmatu Niepokalanego Poczęcia Dziewicy Maryi czynili zabiegi Polacy-lwowianie właśnie — już *przed trzystu kilkudziesięciu laty*: wtedy to radni m. Lwowa,



Kościół OO. Karmelitów we Lwowie.

ku obronie Przeczystej Dziewicy od napaści heretyków, złożyli sto dowodów Niepokalanego Jej Poczęcia Papieżowi Sykstusowi V, który za to pozwolił wcielić do herbu miasta (lwa) trzy pagórki ze złotą gwiazdą z własnego herbu Ojca Świętego.

Tak więc Lwowowi słusznie należał się ten zaszczyt, że w nim odbyto 1-szy polski kongres Maryański.

---

[1]) „Tydzień" lwowski, artykuł p. Fr. Jaworskiego.

Jak wspomnieliśmy, J. E. Arcypasterz lwowski ks. Bilczewski urządzenie kongresu poruczył tamtejszym Sodalicyom Maryańskim.

„Lwowska Sodalicya panów — pisze ks. Alfred Wróblewski z Towarzystwa Jezusowego, dusza całej organizacyi — posłuszna wezwaniu ukochanego Arcypasterza, stanęła zgodnie do dzieła i sercem podjęła wskazaną pracę. Zarys kongresu, wszechstronnie opracowany, został omówiony i przyjęty przez Najdostojniejszego Protektora. Komitet ścisły, kierujący pracami, oparł się na doświadczeniu i wynikach kongresu fryburskiego, podzielił referaty na kilka sekcyj tak, aby one objęły, w pewnym ładzie, to, co stanowi dowód żywotnej czci Maryi w narodzie naszym.

Dogmat, asceza, piśmiennictwo, sztuka, dzieje, stowarzyszenia i Sodalicye Maryi, Jej wpływ na życie rodzinne i społeczne w Polsce — oto szereg zadań, zawierających się w pracach pisarzy i prelegentów."

Komitet przygotowawczy nie ograniczył jednak na tem swej pracy; działał niestrudzenie, dniem i nocą, w tym kierunku, aby—w myśl urządzających—kongres 2-dniowy stał się „jedną, olbrzymią, długi szereg godzin trwającą uroczystością", aby ogarnął „całe miasto, a przybyłym gościom dał różnobarwny obraz czci Maryi", aby „zbudował, pouczył i podniósł na duchu."

I założenie to osiągnięto w zupełności.

Już sam widok miasta, przystrojonego odświętnie na cześć Dziewicy Maryi, mógł podnieść ducha.

Z wnęk świątyń, dachów i balkonów domów powiewają chorągwie i flagi w barwach papieskich; na tarczach wzdłuż ulic promienne gwiazdy z inicyałami Maryi, na wielu balkonach — istne ołtarze z figurą Niepokalanej na tle zieleni kwiatów cieplarnianych. A kędy spojrzysz — w okna mieszkań, czy w wystawy sklepów — tysiące kartek przezroczystych z wizerunkiem Niepokalanej: każdy dom, każdy sklep katolicki w ten sposób zastępuje iluminacyę miasta. Obraz Niepokalanej — dzieło malarza Żelechowskiego — pełen prostoty a zarazem wdzięku i czaru rodzinnego: na blado lazurowem tle Panienka Najświętsza, w wieńcu z 12 gwiazd jasnych nad głową, depce łeb węża, który, przylgnąwszy do kuli ziemskiej, żądłem dotyka złotej korony. Obramienie tworzą: herby i wysmukłe lilie białe—kwiaty godne Dziewicy Maryi. Lud miejski i wiejski nabywał te kartki tysiącami, naklejając je na ściany izdebek i chat swoich.

Przepiękna pogoda jesienna, z blaskiem słonecznym, łagodną pieszczotą powiewów od pól, gór i gajów, uświetniła dni uroczystości pamiętnych, niezrównanych.

Do uczestnictwa w kongresie zapisały się 3,000 osób, z tych conajmniej $^1/_3$ przybyła ze stron dalekich. Na dzień procesyi z cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny Łaskawej napłynęły z całej Galicyi liczne procesye na czele duchowieństwa; w orszaku procesyjnym postępowało od 50 do 70,000 wiernych; przypatrywała się zaś jej cała ludność Lwowa bez różnicy wyznań.

Dane te mówią same za siebie, stwierdzając, że uroczystości lwowskie udały się nad spodziewanie bodaj.

Pierwszy dzień kongresu rozpoczął się od nabożeństwa w archikatedrze. Celebrował J. E. Arcybiskup Bilczewski w otoczeniu infuła



Kościół ś-tej Maryi Magdaleny we Lwowie.

tów Zabłockiego i Lewickiego, oraz kanoników kapituły księży Lubomęskiego, Zajkowskiego i Adama Sapiehy. Po lewej stronie ołtarza zasiedli: ks. Arcybiskup Teodorowicz, biskupi: Wałęga, Pelczar, Fiszer i Nowak; w stallach—kanonicy kapitulni. Na nabożeństwie byli obecni: namiestnik Andrzej hr. Potocki, marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni, prezes krakowskiej Akademii umiejętności Stanisław hr. Tarnowski, wszyscy w bogatych strojach polskich, liczne grono posłów, rada m. Lwowa z prezydentem na czele, przedstawiciele władz rządowych, komendant m. Lwowa jenerał-porucznik Pomiankowski z jeneralicyą, deputacye cechów lwowskich i stowarzyszeń ze sztandarami, które

utworzyły szpaler środkiem świątyni, członkowie Sodalicyj Maryańskich i tłumy wiernych, tak, że olbrzymia świątynia zapełniła się po brzegi. Podczas nabożeństwa połączone chóry Towarzystwa muzycznego i „Lutni“ wykonały Mszę z r. 1580.

Po nabożeństwie wszedł na kazalnicę J. E. Biskup przemyski ks. Pelczar w złocistych szatach, z pastorałem w ręce. Znakomity to kaznodzieja i twórca słynnego dzieła o pięknościach Kościoła katolickiego. Złotousty mówca zaznaczył dobitnie, jak w przeszłości Polski krzewiła się cześć i miłość dla Królowej niebios: u kolebki narodu brzmi hymn na Jej cześć—„Boga Rodzica“, pod Jej opiekę uciekają się w ciężkich chwilach dziejowych królowie: Władysław Łokietek, Jan Kazimierz, Jan Sobieski; wszelkie objawy czci Matki Boskiej: różaniec, szkaplerze, Sodalicye, przyjęły się w Polsce we wszystkich stanach. Gdy inne narody tracą wiarę, naród polski jej nie stracił, choć — co prawda — osłabła ona; rzadka jest głęboka wiara i śmiała jej obrona. Do wad Polaków należą: miękkość i lekkomyślność, które doprowadzają do kupczenia ziemią ojczystą i honorem, lenistwo, niekarność i niezgoda; mówca więc wzywa do pozbycia się tych wad, do silnej i głębokiej wiary.

Trzeba, aby cały naród stał się gorącym czcicielem Matki Bożej, aby Ją kochał po staremu, jak przodkowie; w pracy tej powinni wziąć udział wszyscy a przedewszystkiem matki, które mają wpajać w swe dzieci cześć dla Maryi. Po wszystkie wieki chwała niech będzie Bogu i cześć Bogarodzicy. „Módl się, cały narodzie!“ — woła natchniony kaznodzieja — „a Ty, Królowo niebios i ziemi, daj narodowi pobożność, męstwo i hart, módl się za nim i odbieraj za to od synów Swych i cór cześć i miłość.

Niech Imię Twoje jaśnieje po miastach i wsiach, na szczytach gór i falach rzek, na domach i we wszystkich sercach polskich.“

Wprost z kościoła uczestnicy kongresu dążyli do gmachu „Filharmonii“ (sali koncertowej), gdzie odbyły się posiedzenia zagajające i kończące zjazd, t. zw. „pełne“. Z przedsionka, umajonego zielenią, wchodzimy do wnętrza; krzesła na dole i miejsca na 4-ch piętrach zajęte do ostatniego.

Podwyższenie, zajmowane zwykle przez orkiestrę i muzyków, przybrano festonami, schody obito materyą niebieską, organy, stojące w samej głębi, toną w wieńcach świerkowych, z których tła odbijają: uwity z kwiatów monogram Matki Bożej śród promieni złocistych i obraz Bogarodzicy. Stoły, zastawione na podwyższeniu, pokrywają bogate dywany perskie; mównica na przodzie ozdobiona jest kilimem; u dołu podwyższenia — stoliki dla dziennikarzy. Na podwyższeniu zasiedli Arcybiskupi i Biskupi, prałaci i kanonicy, dostojnicy duchowni i świeccy, oraz wszystkie osoby, które otrzymały tak zwaną „kartę honorową“

(między niemi i wasz sprawozdawca); razem około 200; wszystkich obecnych w sali liczono na 2,000. Po obu stronach podwyższenia ustawili się przedstawiciele cechów lwowskich i Stowarzyszeń katolickich ze sztandarami, na czele — sztandar lwowskiej Sodalicyi panów i młodzieży akademickiej.

Gdy wszyscy zajęli swe miejsca, przemówił ten, co zwołał kongres, J. E. ks. Arcybiskup Bilczewski.

— Dostojne zgromadzenie! — zaczął. — Ojciec Święty wyraził pragnienie, aby ludy katolickie w roku jubileuszowym ogłoszenia Dogmatu Niepokalanego Poczęcia jak najuroczystszemi obchodami zaświadczyły swą cześć i miłość ku Matce Bożej. Życzenie Namiestnika Chrystusowego było dla nas rozkazem, co prawda — nieciężkim do spełnienia, bo zeszło się ono z potrzebą naszego serca, wołającego od siebie o publiczny hołd dla niepokalanie Poczętej.

I oto pochodzenie tego kongresu, z szeregiem uroczystości kościelnych i referatów o czci Bogarodzicy w narodzie. Z wdzięcznością podnoszę, że Pius X dwukrotnie pobłogosławił pracy komitetu przygotowawczego i oświadczył, iż modli się o powodzenie kongresu. Choćby z dzisiejszego kongresu Maryańskiego żaden inny nie pozostał ślad nad ten, że się u nas kilkadziesiąt tysięcy osób wszystkich stanów zebrało na spólną modlitwę, już dobrze, że przyszedł do skutku, albowiem — wobec dążeń niektórych ludzi — aby religię zepchnąć między przeżytki, a co najwyżej, zostawić ją w cieniu i ukryciu, — konieczne, aby ogromna większość narodu, wierna Bogu, od czasu do czasu stwierdziła publicznie, że wiarę katolicką uważa za najgłówniejszą siłę, zo podporę i potrzebę społeczeństwa.

Kongres nasz ma jeszcze inne zadanie. Jak Bóg jest podstawą i źródłem wszelkiej prawdy, wszelkiego piękna i dobra, tak Marya jest najdoskonalszem, stworzonem odbiciem Bożego piękna, prawdy, cnoty. „*Tota pulchra*“. (Cała piękna.) Cześć więc, którą składamy u stóp Bogarodzicy, jest, tem samem, hołdem, złożonym prawdzie, pięknu i dobru“.

Wyłuszczywszy główne cele kongresu, J. E. zwrócił się z serdeczną podzięką do wszystkich, którzy prace kongresu otoczyli żywą opieką; osobno podziękował Metropolicie obrządku gr. katol., ks. Szeptyckiemu, i ks. ks. Mitratom jego kapituły, że złączyli się w hołdzie dla Najświętszej Panny, przyczem wyraził nadzieję, iż i nadal wszystkie wiece będą odbywali spólnie.

W końcu swej mowy J. E. serdecznemi wyrazy powitał „drogich gości — czcicieli Maryi“, wreszcie zawiadomił, że z chwilą otwarcia kongresu komitet przygotowawczy zakończył swą działalność i władzę swą składa w ręce przewodniczącego, którego zgromadzenie ma wybrać.

Dla ułatwienia tego wyboru, J. E., w imieniu komitetu, przedstawił na przewodniczącego kongresu prezesa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, p. Władysława Kraińskiego; zebrani hucznemi oklaskami potwierdzili ten wybór. Powołany na prezesa, p. Kr. zaznaczył na wstępie, iż, nie czując się godnym tak wielkiego zaszczytu, przyjmuje go jednak, bo jako Sodalis przysięgą dozgonną związał się, że stanie zawsze tam, gdzie cześć Maryi wymagać tego będzie. Na wniosek przewodniczącego, zebrani uchwalili jednomyślnie wysłać bezzwłocznie telegram do Ojca Świętego tej, mniej więcej treści:

„Katolicy-Polacy, wraz z Biskupami swymi we Lwowie, mieście przesławnem dla nadzwyczajnej czci Najświętszej Maryi Panny, zebrani na kongres Maryański, do nóg Waszej Swiętobliwości przypadając, wyrażając uczucia najgłębszego uszanowania, posłuszeństwa, miłości synowskiej i proszą Boga, aby za wstawiennictwem Niepokalanej Dziewicy udzielić raczył Stolicy Apostolskiej wolności, społeczeństwu pokoju, Waszą zaś Świętobliwość o Apostolskie błogosławieństwo, tak dla siebie, jak dla ludu, pokornie proszą."

Treści tych słów zgromadzenie wysłuchało, śród majestatycznej ciszy, stojąc, poczem rozległy się długie, serdeczne oklaski.

Przewodniczący zaprosił do pomocy 6 wiceprezesów, w ich liczbie ks. ks. prałatów Chotkowskiego (znanego zaszczytnie z prac na polu piśmiennictwa religijnego) i J. Surzyńskiego (dzielnego muzyka i twórcę religijnych utworów muzycznych), oraz włościanina z rzeszowskiego, Tenczara, którego biała kapota mile odbijała na tle strojów wspaniałych, tudzież 4 sekretarzy.

Na mównicy stanął marszałek krajowy, Stanisław hr. Badeni.

„Bogarodzica Dziewica, Bogiem sławiona Marya" — rozpoczął. — „W tych słowach, które były naszym najdawniejszym hymnem, składamy dziś hołd i cześć najgłębszą Maryi Matce Bożej, chcąc wiernie przechować i wzmocnioną przekazać naszym następcom tradycyę, chwałę i chlubę naszego narodu, streszczającą się w tem, że nigdzie w Europie nie było imię Maryi w takiej czci, jak w Polsce." „Ta cześć szczególna dla imienia Maryi stanowi i stanowić zawsze będzie nierozerwalny łącznik i węzeł między nami wszystkimi". „W życiu publicznem akt hołdu i czci łączymy zwykle z ofiarowaniem daru, a staramy się zawsze, aby dar był mile przyjęty przez tych, których uczcić zamierzamy. To też dziś, sądzę, zapytać siebie powinniśmy: Jakiż my dar tej Królowej Niebios złożyć chcemy, w jaki sposób, nie słowy tylko, ale czynami i życiem, chcemy na Jej łaskę i opiekę w przyszłości zasłużyć." „Droga do tego jedna i prosta, której strzedz chcemy i będziemy: posłuszeństwo Kościołowi i tym, którzy w Jego imieniu przemawiają do nas. Chcemy mieć wiarę świętą za matkę, chcemy

jej służyć na wzór ojców naszych"... „chcemy się poczuwać do wszystkich, bez wyjątku, obowiązków członka, Kościoła katolickiego, chcemy stać silnie na gruncie zasad katolickich, a pamiętać będziemy, że najpiękniejszą i najwspanialszą cechą kraju katolickiego jest miłość i zgoda." „Poprawa doli warstw słabszych w imię miłości Boga i miłości bliźniego, poprawa stosunków społecznych, miłość społeczna w najszerszem słowa tego znaczeniu — to w chwili obecnej czynny dowód miłości Maryi, to świadek zasłużenia na Jej opiekę i łaskę. Z radością patrzymy, że lud, wierny niezłomnie wierze ojców, rozwija się i podnosi z dniem każdym umysłowo i moralnie, nabywa świadomości swych praw i obowiązków wobec Boga i ludzi." „W chwilach, w których



Kościół Najświętszej Maryi Panny Śnieżnej we Lwowie.

słabnąć będą siły nasze, w których zakorzenione wady i przywary odwracać nas będą z drogi, jaką za obowiązek nasz sami uznaliśmy, w tych to trudnych chwilach szukajmy pomocy i siły w modlitwie i słowach, które są tego kongresu myślą przewodnią: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!"

Po ustąpieniu z mównicy p. marszałka krajowego, hołd najświętszej Maryi Pannie imieniem miasta Lwowa złożył jego prezydent, dr. Godzimir Małachowski. W podniosłej swej mowie dał on zarys historyczny objawów czci Najświętszej Maryi Panny we Lwowie, czci tak starej, jak sam gród, sięga ona bowiem pierwszego okresu dziejów te-

go grodu, w wieku XIII W dobrej czy złej doli mieszczanie lwowscy wszystkich trzech obrządków uciekali sie zawsze pod opiekę Najświętszej Panny. „To miasto, — mówił dr. Małachowski — gdzie tyle cudów uprosiła Najświętsza Panna, tyle dobrodziejstw, tyle łask Swem przyczynieniem się wyjednała, to miasto dziś, w 50 lat po ogłoszeniu Dogmatu Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy, wznosi do Niej korne błaganie, prosi łaski Jej świętej, opieki i pomocy; oto lud zbożny uchyla czoła przed Majestatem Twym i woła: „Módl się za nami grzesznymi, wstaw się za nami, odpuść złe dawne, spraw, aby to miasto rozwijało się, rosło i potężniało.“ Składamy dziś u stóp świętych Maryi hołd wiary i czci najgorętszej, miłości i uwielbienia, przywiązania i wierności, ślubujemy po wieczne czasy wytrwanie w zasadach wiary naszej świętej katolickiej, bo wierzymy, że w niej i w opiece Najświętszej Panny, w macierzyńskiem Jej sercu zbawienie i przyszłość nasza.“ „Lwów pozostanie na zawsze przedmurzem chrześcijaństwa, „urbs catolicissima, semper fidelis“ (miasto najbardziej katolickie, zawsze wierne), a po Bogu Marya, Matka Pana naszego Jezusa Chrystusa będzie na wieki Królową Lwowa.“

Imieniem wszystkich Sodalicyj galicyjskich zabrał głos dr. Janusz Przygodzki i określił w swej, ciepłem serdecznem przesiąkłej, mowie pochodzenie, cel i społeczne znaczenie kongregacyj Maryańskich.

Dążeniem i celem Sodalicyj — według słów p. Prz. — nie jest wyłącznie odmawianie pewnej ilości modlitw, lecz wytworzenie dzielnych charakterów, dla których wiara nie ma być tylko czczą formą, lecz źródłem czynu i poświęcenia dla bliźnich. „Jeżeli wszyscy dbać winni, aby w narodzie nie zabrakło nikomu „chleba powszedniego“, to nie możemy również być obojętnymi wobec stowarzyszeń, które mają na celu ułatwienie zdobycia „chleba duchowego.“

Imieniem gości z Poznańskiego przemówił dr. Kazimierz Chłapowski, a wzruszenie, gdy mówił o czasach ucisku bismarckowskiego i obecnem prześladowaniu Polaków, tamowało mu słowa.

Wysłańcem młodzieży uniwersyteckiej był dr. Kazimierz Lubecki, prefekt krakowskiej Sodalicyi akademickiej. Mówił kwieciście, poetycznie, wyrażając radość z powodu dojścia do skutku tej pięknej uroczystości; opowiadając, jak „kochamy Świętą Maryę“ i zakończył słowy „Gdy się obecne obchody zakończą, każdy z uczestników poniesie wonny, nieśmiertelny kwiat serca, poniesie płomyk w sercu na trwałą iluminacyę dla Najświętszej i skarb wieczystej wartości; miłość ku Matce Boskiej — to Boskie natchnienie do działania.“

Ostatni na tem pierwszem, „pełnem“ posiedzeniu kongresu zabierał głos Arcybiskup ormiański, ks. Teodorowicz, a było to przemówienie głęboko pomyślane, pełne myśli filozoficznych i niepospolitych.

Do życia, zarówno jednostek, jak i narodów, niezbędny jest pierwiastek nadprzyrodzony. Gonitwa za chlebem, chociaż konieczna, nieraz nazbyt obciąża duszę troskami i odciąga od ogniska szlachetniejszych dążeń. Niechaj w walce o rzeczywistość nie przepada dusza i jej wyrobienie.

W obecnej dobie ileż to razy, patrząc w nasze stosunki, przypomnieć sobie mimowoli wypada słowa Ewangelii: „Tu tylko jednego potrzeba“: większego i głębszego rozbudzenia życia nadprzyrodzonego i wewnętrznego dusz. W najbardziej pracowitej epoce najbardziej w tej pracy potrzeba nadziei. Życie nadprzyrodzone skłania nas, abyśmy podnieśli oczy ku Temu, który jest Panem narodów; przez życie nadprzyrodzone zespalają się dusze; nietylko symbolem lecz żywem przedstawieniem tego zespolenia jest obecny kongres Maryański.

Oto wytyczne myśli przemówienia Arcybiskupa Teodorowicza, poczem nastąpił już tylko wybór przewodniczących i sekretarzy sekcyj poszczególnych i zamknięcie pierwszego zebrania pełnego.

Po krótkiej przerwie, na obiad, rozpoczęły się posiedzenia sekcyjne, w innym już gmachu: nowego muzeum przemysłowego, w pobliżu Filharmonii.

Sekcyj było 4, mianowicie: I) poświęcona czci Najświętszej Maryi Panny w ogólności i w Polsce, II) czci Najświętszej Maryi Panny w poszczególnych stronach, III) czci Najświętszej Maryi Panny w sprawach społecznych i IV) czci Najświętszej Maryi Panny w piśmiennictwie i sztuce polskiej. Ogółem referatów było 52, a ponieważ posiedzenia wszystkich sekcyj odbywały się jednocześnie, według programu: od 3-ej do 6-tej po południu 1-go dnia i od 9-ej do 1-ej z południa 2-go dnia (przeciągnęły się dłużej, nad program), przeto, choćby kto chciał wysłuchać tylu referatów, mógł tylko wybrać jedną sekcyę, lub kilka referatów w różnych, przechodząc z sali do sali. Ja wybrałem sekcyę III: „czci Najświętszej Maryi Panny w sprawach społecznych“ i odczyt prof. Tretiaka „O czci Najświętszej Maryi Panny w poezyi polskiej“ (w sekcyi IV).

W sekcyi III-ej dr. Władysław Smoleń mówił o polskich czasopismach katolickich w Królestwie Polskiem, Galicyi i Księstwie Poznańskiem (nie zapomniał i o naszym „Dzwonku Częstochowskim“) i stwierdził, że należałoby założyć w Galicyi dziennik (pismo codzienne) katolicki. W rozprawach po odczycie dodałem ze swej strony, że dziennik katolicki przydałby się i w Warszawie.

Następnie mecenas Serafiński wymownie uzasadnił potrzebę zakładania katolickich szkół wyznaniowych, gdzieby nauczyciele-katolicy kształcili młodzież w duchu katolickim, łącząc umiejętnie wykład wiedzy z wymaganiami religii. K. Chłapowski z zapałem powstawał prze-

ciwko pojedynkom, będącym w gruncie rzeczy samobójstwem i zabójstwem, i zalecał popieranie i zapisywanie się do członków Towarzystwa przeciwpojedynkowego, założonego w Galicyi. Popierał, rozwijał i prostował myśli prelegenta pełen swady i energii ks. Pastor, z Poznańskiego.

Mecenas Olearski, wobec podatnie usposobionych pań Polek, mówił przekonywająco i z serdecznem uczuciem „o nędzy dzieci i środkach zaradczych.“

Z powodu braku czasu piękny swój odczyt „O święceniu niedzieli“, z bardzo ożywionemi rozprawami słuchaczów, Krzysztof hr. Mieroszewski wygłosił nazajutrz, również jak i Ludwik hr. Dębicki, który mówił „O obowiązkach ludzi świeckich wobec spraw Kościoła.“

W salach posiedzeń sekcyjnych, aczkolwiek bardzo obszernych, był natłok nadmierny, a wspomniany odczyt Ludwika hr. Dębickiego musiano przenieść do wielkiej sali Filharmonii. Prof. Tretiak, z powodu niedomagania, nie przyjechał z Krakowa; piękną pracę, zakończoną życzeniem, aby Królowa niebios stała się i królową poezyi polskiej, odczytał zastępczo, głosem silnym i melodyjnym, ze zrozumieniem i oddaniem wszystkich myśli twórcy, o. Wróblewski T. J.

Z innych sekcyj doleciały mię pochwały, składane odczytowi Cecylii hr. Plater-Zyberkówny, niestrudzonej pracowniczki na polu Chrystusowem (z Królestwa Polskiego); mówiła ona o obowiązkach niewiast polskich wobec jubileuszu Niepokalanego Poczęcia; a mówiła tak porywająco, że słuchaczki zgotowały jej gorące przyjęcie.

Słyszałem też gorące oklaski na cześć ks. prałata J. Surzyńskiego, który za temat odczytu wziął Najświętszą Maryę Pannę w muzyce polskiej.

Wszystkie referaty, w całej rozciągłości, wraz z mowami i opisem przebiegu uroczystości Maryańskich, znajdą się w 2-tomowej „Księdze pamiątkowej 1-go kongresu polskiego we Lwowie“, która wyjdzie z druku przed końcem r. b. Wynikiem tych referatów, prócz uświadomienia słuchaczów, w danym zakresie, było kilka uchwał kongresu, wielkiej doniosłości, z któremi zapoznamy czytelników w miejscu właściwem.

Wprost z sali posiedzeń sekcyj dążyć wypadło na „Akademię literacko-muzyczną“ w teatrze.

Sala teatralna przedstawiała niezwykły widok tego wieczora: obok strojów narodowych i balowych pań i panów — czarne sutanny księży, białe i szare habity zakonników, fiolety Biskupów w loży. Nastrój jednak, zarówno koncertu Maryańskiego — jak i misteryum religijnego — odpowiadał w zupełności powadze dnia wielkiego.

Kantata M. Surzyńskiego do hymnu Mickiewicza „Na dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny“ od intonowanego ustami dziewic wstępu:

„Pokłon Przeczystej Dziewicy!
Nad niebiosa Twoje skronie,
Gwiazdami Twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy!“



Studnia ze statutą Najświętszej Maryi Panny, u wylotu ul. Hetmańskiej we Lwowie.

do końca jest dziełem talentu i natchnienia. Moc istotną, potężną mają w wykładzie muzycznym zwrotki:

„Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!“

Świetnie rzecz tę wykonały chóry „Lutni“ pospołu z solistami i orkiestrą, znakomicie kierował nimi ks. J. Surzyński.

Bez śladu przesady, jakby nie dla słuchaczów lecz dla Pana nad Pany, po skowronkowemu, odśpiewała p. M. Langie „Modlitwę do Bogarodzicy“ Moniuszki i „Gdy bez Dzieciny oglądam Cię, Panno“ Nowialisa. Litwin dorobił muzykę do słów Litwina, Syrokomli, który tak cudnie przetłumaczył z łaciny „Odę“ Macieja Sarbiewskiego, jak gdyby wyśpiewał pieśń z własnego natchnienia:

„Gdy bez Dzieciny, oglądam Cię, Panno,
Dziwię się Twojej urodzie:
Zda mi się: widzę jutrzenkę zaranną
W różowych falach na wschodzie.
Gdy zasię widzę Matkę i Pacholę:
To księżyc w północnych cieniach,
Co złotolity blask na swojem czole
Bierze w słonecznych promieniach.
Gdy zaś Twe Dziecię, o Matko i Pani,
Tulisz rękoma do łona,
Jasnaś, jak słońce, co niebom hetmani
W pośrodku gwiazd miliona.“

Również prześliczną melodyę dobrał znany muzyk Żeleński do słów przedwcześnie zgasłej poetki, K. Zawistowskiej; duch jej zdawał się brać udział w uroczystości, gdy dwa przeczyste twory jej natchnienia: „Zwiastowanie“ i „Przenajświętsza“, brzmiały w melodyi tonów muzycznych i równej im deklamacyi p. Solskiej.

Nie mogę się powstrzymać, abym nie przytoczył choć „Zwiastowania:“

„Zdrowaś, Maryo! w blasków powodzi
Goniec niebieski w Twe wrota wchodzi
I Oblubieniec płaszczem purpury
Okrywa białość Syońskiej Córy.
Zdrowaś, Maryo! Jak lutnię w pieniu
Rozgrzej Swą duszę na łask promieniu,
Bij wonnościami, jak cedr w świątyni,
Bo Pan w Twej duszy złoty siew czyni.
Zdrowaś, Maryo! W blasku powodzi
Moc Najwyższego w Twe łono wchodzi,
I pierś dziewicza pod lilią białą
Kwiat duszy Twojej przemienia w Ciało.
Zdrowaś, Maryo! Owoc żywota
Ty, jako Arka poniesiesz złota,

By z dziewiczego wykwitła łona
Ożywczą słodycz winnego grona.
Zdrowaś, Maryo! W blasków powodzi
Goniec niebieski w Twe wrota wchodzi
I na Twe skronie, owite złotem,
Mży rozpylonym słońca nalotem.
Zdrowaś, Maryo!...

Dziwne ukojenie słały te słowa, ta melodya.

Gdy zabrzmiała przegrywka do misteryum jubileuszowego, stała się w sali wielka cisza, a cały tłum, jak jeden mąż, wstał, wchłaniając melodyę.

Zasłona podniosła się, dusze obecnych wzięli we władanie: wielki poeta — Rydel, malarz St. Jasieński i natchniony muzyk Sołtys. W majestatycznym korowodzie przewijać się poczęły obrazy przeszłości, gdzie obok ludu wiernego stawała Bogarodzica, niosąc mu opiekę, pomoc i zmiłowanie. Oto przed nami husarya wzywa przed bojem z poganinem pomocy Najświętszej Panny; brzmi najstarszy hymn polski:

„Bogarodzica Dziewica,
Bogiem sławiena Marya,
Twego Syna, Gospodzina
Matko zwolena; Marya.
Ziszczy nam, spust... winam!
Kyrye Elejson!“

Oto młodzianek królewski, ś-ty Kazimierz, w zachwycie niebiańskim, sławi pieśnią Maryę Przeczystą:

„Już od rana
Rozśpiewana
Chwal, o duszo, Maryę;
Cześć Jej świątkom
I pamiątkom
Codzień w niebo niech bije.
Bo cud żywy
Nad podziwy
Jej wielmożność u Boga:
Panna czysta,
Matka Chrysta
Przechwalebna, przebłoga!“...

Oto obrona Częstochowy przed Szwedami przy pieśni na wałach:

„O, Gospodo uwielbiona,
Nad niebiosa wywyższona,
Twórcęś Swego porodziła,
Mlekiemeś Go swem karmiła“...

Oto pełen wdzięku rodzimego, na tle wioski polskiej, zbierającej się do snu, obraz „Majowe nabożeństwo"; oto wieża Maryacka w Krakowie z cudnym hejnałem z wieży; oto wreszcie Apeteoza—niezrównanej piękności...

Jak sen — mignęło, zatargało duszą i przeszło. Z podzięką na ustach dla tego, co się najwięcej natrudził, namozolił, dla Ludwika Solskiego, wychodzimy, zabierając na pamiątkę śliczny program Akademii. Inicyały górne, dokładna odbitka pierwszego rękopisu hymnu „Bogarodzica", karta tytułowa z dzieła O. Justyna z r. 1634, zasługują na odtworzenie ich u nas, ku użytkowi gromad szerokich, co też uskuteczniamy w „Dzwonku Częstochowskim".

Drugi i ostatni dzień kongresu rozpoczęła Msza święta, odprawiona dla uczestników przez J. E. ks. Biskupa tarnowskiego, d-ra Leona Wałęgę. Podczas Mszy ś-tej śpiewacy Towarzystwa „Echo" wykonali sześć motetów, wspaniałych pod względem prowadzenia głosów.

Najpotężniejszą uroczystością dnia tego, obchodzonego uroczyście w całej Galicyi święta Archanioła Michała, do której obchodu przygotowywał się cały Lwów od kilku dni, która zagarnęła do udziału stotysięczne zastępy wiernych, a na widzów wywołała z domostw wszystkich, kto tylko żył we Lwowie, była procesya, jakiej gród nie pamiętał od wieków: cudowna Najświętsza Panna Marya Łaskawa opuściła tron swój w archikatedrze, zeszła między lud wierny, ku umocnieniu go w wierze, pobłogosławiła i w tryumfalnym pochodzie powróciła na dawne miejsce, by królować tam dalej, jak od wieków.

O wspaniałości procesyi może dać wyobrażenie spis zakładów, stowarzyszeń, bractw i korporacyj, biorących w niej udział. Podajemy go podług broszurki p. t. „1-szy kongres Maryański", wydanej staraniem i nakładem Sodalicyj Maryańskich, która oddawała nieocenione usługi przyjezdnym, dzięki nagromadzeniu praktycznych, najniezbędniejszych wskazówek dla uczestników kongresu. Otóż czoło pochodu stanowiły: krzyż i 2 chorągwie, młodzież szkół wydziałowych męskich i żeńskich, pensyonaty i szkoły klasztorne, seminaryum nauczycielskie męskie i żeńskie, 1-sza i 2-ga wyższe szkoły realne, gimnazyum lwowskie, akademia handlowa, państwowa szkoła przemysłowa, młodzież Towarzystwa Ś-go Stanisława, kółka rolnicze; na część II-gą składały się Bractwa kościołów lwowskich i Towarzystwa Ś-tej Zyty, Ś-go Józefa i Dobrej śmierci; na III-cią stowarzyszenia świeckie: kobiece: pomoc przemysłowa, Towarzystwo Ś-tej Salomei, czytelnia dla kobiet, kursa akademickie dla kobiet, Stowarzyszenia nauczycielek i oszczędności kobiet, związek koleżeński b. seminarzystek i nauczycielek, Praca kobiet; Towarzystwo szkoły ludowej: koła akademickie, panien i pań; Towarzystwa naukowe: prawnicze, ludoznawcze, pedagogiczne, politechniczne, weterynarskie;

Towarzystwa akademickie; Towarzystwa „Jedność“, „Przyjaźń“, „Skała“, „Gwiazda“, cechy rzemieślnicze; przedstawiciele innych Towarzystw, jak: weteranów wojsk im. arcyksięcia Rudolfa, metalowców, maszynistów, czytelni kolejowej, „Nadziei" głuchoniemych, związku katolickie-

Podobizna pierwszego rękopisu hymnu „Bogarodzica Dziewica“.



Podobizna kartki tytułowej broszury O. Justyna z r. 1634.

go Towarzystwa dobroczynności, Towarzystw: leśnego, łowieckiego, urzędników i sług m. Lwowa, dyetaryuszy i urzędników, wzajemnej pomocy urzędników i oficyalistów prywatnych, właścicieli realności, Ś-go Wincentego a Paulo, czytelni polskiej, czynnej miłości bliźniego, związ-

ku chrześcijańsko-narodowego,—Kasyn: urzędniczego, miejskiego, ziemskiego, wojskowego i narodowego; Towarzystwa dam dobroczynności, „Rodzina“, budowniczych, adwokatów, izb: notaryalnej i inżenierskiej, Towarzystw: lekarzy, muzycznego, Przyjaciół sztuk pięknych, związku artystów polskich, Koła literacko-artystycznego, Towarzystwa gospodarskiego. Do części IV-ej pochodu należały: oddział ochotniczej straży ogniowej „Sokół“, Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“, bractwo katedralne, czytelnia katolicka, Stowarzyszenie kolejowe Ś-go Rafała, Towawarzystwo dziennikarzy polskich, zakony, Towarzystwo strzeleckie, Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej, Ossolineum, Sodalicye Maryańskie—pań i panów; reprezentacye władz krajowych (namiestnictwo, wydział krajowy, sejm, sądownictwo, skarb, senaty Uniwersytetu, Politechniki i Akademii weterynaryi); świecki kler i kapituła; episkopat; *obraz Najświętszej Maryi Panny* w otoczeniu Rady miasta; zamykał pochód oddział ochotniczej straży pożarnej „Sokół“.

Już o godzinie 3-ej po południu wszystkie zakłady, stowarzyszenia, bractwa i korporacye zgromadziły się na wyznaczonych im stanowiskach, na których umieszczono tabliczki z nazwą Towarzystwa lub zakładu, dla łatwiejszego odszukania.

O godzinie $4^1/_4$ dzwony katedralne zabrzmiały hymnem wspaniałym, któremu zawtórzyły dzwony innych świątyń; znak to, że obraz cudowny, na tronie niesionym przez 28 osób, wyruszył w pochód po ulicach miasta.

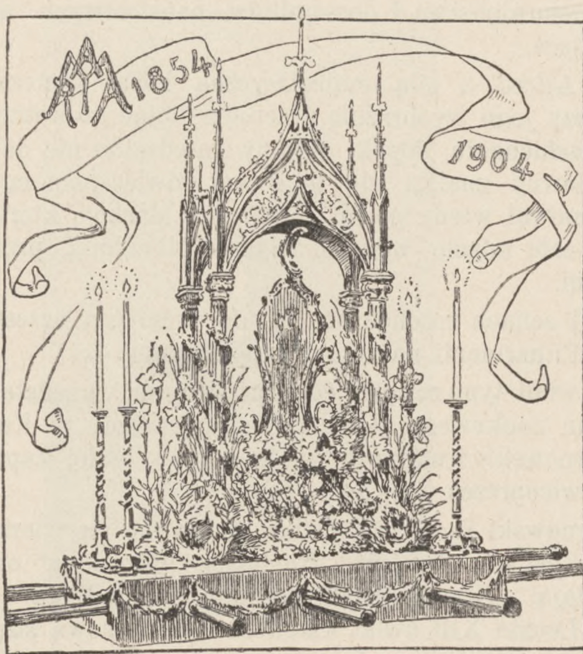
Tron-ołtarz był właściwie baldachinem, wznoszącym się na szerokiem podium. Zbudowano go w stylu gotyckim na motywach grobowca Kazimierza Wielkiego, w całości z drzewa, nasyconego prawdziwem złotem. Wysokość baldachinu do kwiatonu szczytowego $3^1/_2$ metra. Kopułę zdobią misternie wykonane koronki, na froncie złocona korona. Obraz, jak i podstawę tronu, zdobiło mnóstwo kwiatów żywych i lilie srebrne.

Wspaniały orszak rozwinął się olbrzymim skrętem, idąc, przy śpiewie hymnu: „Witaj, Swięta i poczęta niepokalanie“, od katedry ul. Teatralną, ku kościołowi Ojców Jezuitów, placem ś-go Ducha do gmachu Kasy Oszczędności. U wylotu ul. Hetmańskiej, na tle zieleni bujnej, odbija się harmonią linij i bielą swych szat statua Niepokalanej Dziewicy, stojąca nad studnią, której otwarte hydranty dostarczają wciąż żywej wody na użytek ludności. Studnię tę wystawiła w r. 1861 hr. z Pietruskich Badeniowa nieco dalej, na placu Maryackim, gdzie dziś kończy się budowę kolumny Mickiewicza; za zezwoleniem wyższej władzy duchownej, studnię przeniesiono na miejsce obecne. Orszak doszedł do tej studni, a Arcybiskupowie Bilczewski i Teodorowicz poświęcili ją; gdy ruszono w drogę powrotną — lud okrążył studnię i z wia-

rą lat dawnych jął czerpać wodę z cystern w naczynia, aby je zanieść do domów na pamiątkę dnia tego.

Jak procesya była najwspanialszym momentem uroczystości, tak znów w procesyi najmajestatyczniejsze były chwile na Rynku miasta.

Zmrok już zapadł, gdyśmy się tam znaleźli. Po środku fasady ratusza, olbrzymiego gmachu o 15 oknach w rząd, wznosił się olbrzymi ołtarz, którego szczyt sięgał drugiego piętra, dół — parteru; obok ołtarza trybuna dla dostojników i mównica. Żarowe lampy elektryczne oświetlały rynek, jak w dzień biały.



Tron-ołtarz, na którym, podczas uroczystej procesyi, obnoszono cudowny obraz Najświętszej Maryi Panny Łaskawej.

36 trębaczów z wieży ratuszowej zagrało hejnał, który echowo odezwał się w naszych sercach. Chór młodzieży, blizko pół tysiąca głosów, zaśpiewał unisono, z towarzyszeniem trąb, hymn prastary „Bogarodzica", co brzmiał potężnie, wstrząsająco a kojąco zarazem.

Gdy hymn rozwiał się w powietrzu, J. E. Arcybiskup Bilczewski wygłosił wspaniałe kazanie, w którem rozsnuł w barwnych słowach, czem jest Marya w chrześcijaństwie.

Według programu, procesya miała okrążyć Rynek i wrócić do katedry; ale stotysięczne pogłowie, które zapchało Rynek, nie przepuściłoby procesyi bez krzywdy dla uczestników, a może i dla cudownego obrazu. Nadzwyczajna przytomność umysłu ojca Alfreda Wróblewskiego zażegnała olbrzymie nieszczęście, jakieby niechybnie wynikło z tłoku, w razie skierowania całego orszaku do katedry. Na jego wniosek, Jego Ekscelencya Arcybiskup Bilczewski zgodził się na odniesienie cudownego obrazu do katedry w najszczuplejszem gronie: Arcybiskupi i Biskupi sami ponieśli tron-ołtarz z wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny Łaskawej; chorągwie kościelne i cechowe zostały; większość duchowieństwa i dostojników państwowych nie ruszyła się nawet z miejsca.

Ojciec Alfred z siłą majestatyczną kazał tymczasem do ludu, a owładnąwszy jego wyobraźnią i sercem, dotąd go wstrzymywał w nieruchomem zasłuchaniu, dopóki dzwony katedralne nie dały znowu znać, że obraz cudowny znalazł się na swem odwiecznem miejscu. Kaznodzieja zaintonował wtedy pieśń „Serdeczna Marko“, którą podjął tłum rozmodlony; całe miasto musiało słyszeć olbrzymią, przepotężną melodyę tej pieśni.

Przy jej echach rozchodzono się do domów, a uczestnicy kongresu podążali do Filharmonii na zebranie pożegnalne.

Przemawiali tym razem, jeden po drugim: przedstawiciel najwyższego zakładu naukowego, Akademii umiejętności w Krakowie, Stanisław hr. Tarnowski, i skromny włościanin, w białej kapocie, ów wspomniany już wiceprezes kongresu, Tenczar.

Hr. Tarnowski żąda, aby nauka oparła się na wierze, żywi nadzieję, że szatan już nie zwycięży. Na hasło: „Bez Boga“ olbrzymie zastępy odpowiadają: „Nieprawda! z Bogiem i dla Boga!“ W Papieżach Piusie IX i Leonie XIII świat katolicki znalazł nową siłę, nowy popęd i za nich, a w ogromnej części przez nich, dokonało się rozszerzenie i umocnienie świadomości katolickiej.

Włościanin Tenczar, witany i żegnany na równi z hrabią hucznemi oklaskami, zapewnił, że lud wiejski kocha Przeczystą Maryę i „od najdawniejszych lat korzystał skwapliwie z prawa modlenia się do Niej i wzywania Jej Orędownictwa.“ W chatach polskich wszędy na miejscu poczesnem wizerunki Najświętszej Panienki; nabożeństwo majowe po wsiach odprawia się co roku z czcią i okazałością, na jaką tylko stać ludek ubogi. A któż to pielgrzymuje do miejsc świętych, w których króluje Marya, jeżeli nie drużyna wieśniacza, wziąwszy na drogę chleb czarny, zawiązawszy w supełek trochę grosza, który składa na ofiarę

Panu Bogu? I Marya odpłaca wzajem temu ludowi, wszak zarówno na ziemi galicyjskiej, jak i innych, najpierwej, najchętniej objawiała się pastuszkom ubogim. Cześć dla Maryi, Królowej Niebios, lud siermiężny przechowa w czci niezmiennej po wieki, jak swój skarb najdroższy.

A po tych jeszcze przemówił złotousty Biskup Pelczar, stawiąc zebranym przed oczy wielkie postaci zgasłych Papieży: Piusa IX-go i Leona XIII i wyrażając życzenia, przyjęte przez całe zgromadzenie z zapałem niewysłowionym, aby Pius IX-ty, szlachetny przyjaciel Pola-



Archikatedra we Lwowie.

ków, pomnożył zastęp Błogosławionych a Polacy, swemi staraniami, przyśpieszyli Jego beatyfikacyę, i aby następny kongres Maryański był zwołany niepóźniej jak za lat kilka.

Przewodniczący kongresu odczytał uchwały, przyjęte jednomyślnie:

I. Na wniosek p. Chłapowskiego: Polski Kongres Maryański uznaje, że przystąpienie do „Towarzystwa ochrony czci osobistej“ i popieranie celów tego towarzystwa czynem i środkami materyalnymi jest obowiązkiem każdego uświadomionego katolika.

II. Na wniosek p. Kościńskiego: Polski Kongres Maryański, stwierdzając pożyteczną działalność Sodalicyj Maryańskich w sferach

wyższych, uznaje za rzecz pożądaną zakładanie, a względnie podtrzymywanie i rozwój Sodalicyj i w sferach nauczycielskich i młodzieży, a zwłaszcza szkół średnich i handlowych.

III. Na wniosek p. Olearskiego: Polski Kongres Maryański uważa za konieczne, aby społeczeństwo katolickie wydatniej niż dotychczas pracowało nad ocaleniem dzieci od nędzy materyalnej i moralnej, a mianowicie nietylko przez uchwałę, aby zakładano rozliczne w tych celach domy i przytułki, lecz przez dobrowolne a stałe upodatkowanie się w celu pokrycia kosztów takich zakładów.

IV. Na wniosek p. Bartynowskiego: Polski Kongres Maryański uchwala zanieść najpokorniejszą prośbę do Ojca Świętego, aby raczył ustanowić dla uczczenia Najświętszej Maryi Panny order Niepokalanego Poczęcia.

V. Na wniosek tego samego: Polski Kongres Maryański uchwala zanieść do Ojca Świętego najpokorniejszą prośbę, aby dla uczczenia Najświętszej Maryi Panny raczył dodać do Litanii loretańskiej wezwanie: „Wspomożenie dusz czyścowych, módl się za nami“.

VI. Na wniosek prof. d-ra Abrahama: Polski Kongres Maryański zwraca się z usilną a pokorną prośbą do wszystkich naszych najprzewielebniejszych Arcypasterzy, aby raczyli podjąć usiłowania w celu wyjednania u Stolicy Świętej Koronacyi błogosławionego Jakóba Strepy, arcybiskupa lwowskiego, a najdzielniejszego apostoła czci Niepokalanej Bogarodzicy, aby, jak Gniezno ś-go Wojciecha, Kraków ś-go Stanisława i Lwów miał u tronu Bożego swojego orędownika.

Setki zakładów katolickich, duchownych wszelkich stopni nadesłały telegramy z życzeniami; na czytanie treści zabrakłoby czasu, przytoczono więc tylko nazwiska; między innemi, niemilknące oklaski przez parę minut powitały nazwisko Biskupa sandomierskiego, ks. Zwierowicza.

Uroczysty widok przedstawiało zebranie kongresu, gdy wszyscy uczestnicy poklękali na swych miejscach, a Arcybiskupi i Biskupi z podniesienia, górującego nad falą głów, kreśląc nad niemi znak krzyża, błogosławili nas wyrazami:

„Niechaj błogosławi wam Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch ś-ty Amen“.

Pod wrażeniem tego błogosławieństwa, z niebem w duszy, z pieśnią hejnałową w sercach, wracamy do domów i zajęć, a na usta wdzięczne wyrywają się słowa:

Salve Regina!

Choć śpiewany nad grobem, hymn ten duchom prawym brzmi słowami nadziei i wiecznej szczęśliwości.

Karol Hoffman.



Budowa żelaznej części wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie: Odpoczynek pracujących.

Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy"

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

SCENA XV.

(Komnata Olympiusza. — Olympius, Asper i Wulpiskus.)

Wulpiskus.

Olympiuszu! przerywam ci może,
Lecz wchodzę z wieścią, którą sam, jak wróżę,
Nazwiesz fortunną, bo ci daje pole
Okazać światu, że cezarów wolę
Kładziesz na równi z przeznaczeniem Bogów
I zadać kłamstwo potwarzy twych wrogów.

Olympiusz (z ironią).

Tak? — a więc słucham.

Wulpiskus.

Pragnący twej szkody
Z radością może widziałby dowody,
Jak był omylny twój sposób i próżny,
Przeciwko sekcie chrześcijan bezbożnej,
I do już jakiej mocy i odwagi
Przyszli snać przezeń śród samej Kartagi,
Gdy oto w tłumie jej sprośnych czcicieli,
Których już Feba kapłani ujęli,
Jest trybun twojej legii i żona
Jednego z pierwszych jej Centuryona,
I — czem się wzdryga Niebo i natura —

Olympiusz (z przerażeniem.)

Kto?

Wulpiskus (obojętnie).

Felicyta, jak mi ją nazwano!
Z świątyni Feba uciekła dzić rano.
I gdy jej śladów niemogący dociec,
Szukał jej wszędzie nieszczęśliwy ojciec,
Ona — o, zbrodnio! drżę, kiedy to mówię,
By się jej na nas nie mścili bogowie: —
Ona — kapłanka Dyany przeczystej,
Córka kapłana swej wiary ojczystej,
Niepomna ojca, ni czci, ni boleści,
W jaskini wstydu i cnoty niewieściej,
W pośród bluźnierców, śród wiary swej wrogów,
Odprzysięgała, urągała z bogów!
I w końcu sama, z służalczą niewiastą,
Z trybunem dalej ujść chciała za miasto,
By snać w ukryciu śmielej i swobodniej
Nurzać się w otchłań sromoty i zbrodni.

Olympiusz.

To fałsz! to kłamstwo! to jest potwarz podła!

Wulpiskus.

Przy tobie władza dojść prawdy tej źródła.
Bo z ust twych Olimp, Roma i Cezary
Będą czekali wyroku jej kary,
Co odpowiedni sprośności jej zbrodni,
Sam twoją ku nim wierność udowodni.

Olympiusz (z powagą).

Kaju Wulpisku! pókim ja tu panem,
Zeus tylko w Niebie, a cezar na ziemi
Mogą mi radzić zdaniem niepytanem,
Lub ważyć sądy nad czynami memi.
Ty się nie troskaj! — bo nie dam nikomu
Zabyć kto jestem; a czuję różnicę,
Kaju Wulpisku! między echem gromu,
A tym, co miota grot i błyskawice...

SCENA XVI.

Ciż i arcykapłan.

Arcykapłan.

Olympiuszu!

(spostrzegając Wulpiska).

Prokonsulu, panie!
Sprawiedliwości, nie litości twojej
Błagać przychodzę. — Sprośni crześcijanie
Czarami zwiedli młodość córki mojej.
Nie śmiem, nie błagam, byś dla mej żałoby,
Dla próśb mych, zmieniał wyroki Cezarów;
Zwlecz tylko dla niej czas jutrzejszej próby
Nim łaska bogów zniszczy urok czarów.

Olympiusz.

Arcykapłanie! czuję boleść twoją,
Dzielę otuchę, że do jutra rana,
Namowa ojca i władza kapłana
Z nad brzegu zguby cofną dziecię twoje.
Idź! drzwi więzienia będą ci otworem.

Idź! i niech jutro otoczona chórem,
Głosi cześć bogów natchnionemi usty:
Posłusznej przez mię przebaczą Augusty.
Dalej ni moja, ni ludzka potęga
Przeciw wszechmocnej woli ich nie sięga.

Arcykapłan.

Idę! — O, Febie! daj mi twe promienne
Światło, bym przez nie rozproszył złe czary,
Jako ty chmury gromami brzemienne,
Nim Zeus z nich na świat ciśnie grot swej kary!

(odchodzi).

Olympiusz (do Wulpiska).

Kaju Wulpisku, żegnam cię!

Wulpiskus.

Odchodzę.
Ujrzym się jutro; — i wiedz, że mam władzę
Patrzeć i sądzić, jako rządu wodze
Sługa cezarów sprawuje w Kartadze.

(odchodzi).

SCENA XVII.

(Olympiusz, Asper).

Olympiusz.

Ha! odszedł wreszcie! — Sam sobie nie wierzę,
Żem miał dość siły znieść wzrok tego gadu,
Żem go nie zdeptał, gdy tchem swego jadu
Zionął mi w duszę. — A teraz, Asperze!
Radź, mów, co czynić?—bom nie jest, czem byłem.
Myśli się pasmem splątały zawiłem,
Serce upadło; wiem tylko, że muszę
Zbawić ją, gwałtem wyrwać ją z otchłani
I że jej jutro grożące katusze
Niczem są przy tych, co już znoszę dla niej,
Com zniósł: gdy przed nim—gdy mi śmiał urągać—

Jam sił ostatkiem musiał gniew powściągać,
By wybuch uczuć nie ujął mi mocy,
Co jeszcze mogę mieć jej ku pomocy. —
Milczysz?

Asper.

Rad ojca mniemam, że usłucha.

Olympiusz.

Nie, nie, Asperze! to próżna otucha...
Teraz się całkiem przede mną rozświeca
Jej i mojego losu tajemnica.
Jam to, ja, moją nadzieją zbrodniczą,
Pchnął ją w tę przepaść, w tę wiarę zwodniczą,
Co stratę szczęścia i urok miłości
Uczy zastąpić marzeniem wieczności;
I na dnie grobów, nie mrok ich ponury,
Lecz widzi tylko, jak w głębi wód z góry
Odbite Niebo w całej swojej chwale.
Tam ona idzie ukoić swe żale.
I ach! dopóki nadzieją uprzednią
Świat ziemski znowu nie zaświeci przed nią,
Póki znak żalu i zgryzoty mojej
Gniewu skrzywdzonych uczuć nie rozbroi,
Czuję po sobie, że tylko ją bardziej
Prośba rozżali, a groźba zatwardzi.
Idź więc, śpiesz, biegnij, znajdź arcykapłana!
Niech jej powtórzy, com rzekł mu dziś z rana.
— Idź, śpiesz! — lecz pomnij, że mi okamgnienia
Straszna niepewność w wiek cierpień zamienia.

(Asper odchodzi śpieszno; za nim Olympiusz).

SCENA XVIII.

(Więzienie Felicyty).

Felicyta (sama, na kolanach).

O, Jezu mój! o, Boże mój,
O, Zbawicielu! o, Panie!

Tyżeś-to ze mną? Duch-że to Twój,
Tej niewymownej pociechy zdrój
Tchnie w serce moje? Twejże to łaski
Cudwne blaski,
Jakby już Nieba świtanie,
Wschodzą w mej duszy? — Boże mój, Boże!
Dusza ich moja objąć nie może.
Dusza się moja chyli przed Tobą,
Jak kwiat przed słońcem. — W sobie, nad sobą,
Około siebie — wszędzie, ach! wszędzie
Czuję Cię, Panie, nie jako sędzię,
Ach, nie! jak ojca, jak przewodnika,
Co błogosławi mnie, i odmyka
Niebo, i woła na mnie, — o, Panie!
Czyż mi dość serca, dość siły stanie,
Ukochać ciebie, uwielbić ciebie,
Jakbym tu chciała: jak chyba w Niebie
Szczęśliwe duchy i chcą i mogą? —
Za cóż mi, Panie, płacisz tak drogo?
Cożem ci dała, com poświęciła? —
Grzechy i boleść, co mię tłoczyła...
A Ty mi, Panie? łaską za grzechy,
Za boleść płacisz morzem pociechy;
Za łzy rozpaczy, w chrzestnym Twym zdroju,
Wlałeś w mą duszę źródło pokoju;
I za śmierć, której pragnę dla Ciebie,
Życie mi wieczne gotujesz w Niebie! —
Gdzież jest ta trwoga mąk i katuszy?
Skąd ta nie moja śmiałość w mej duszy? —
Z czegóż Ci, Panie, złożę ofiarę,
Z czego zasługę? — gdy nie przez wiarę,
Nie przez ufanie, lecz wszystko prawie
Czuję, pojmuję, widzę na jawie:
I marność ziemi, i lichość moją,
I wielkość Twoją, i chwałę Twoją.
Gdzież jest? — gdzie może być w tej zamianie
Zasługa moja, gdy Ci nic, Panie,
Dać z siebie nie mam, a wszystko biorę? —
Przyjmże przynajmniej cześć i pokorę.
Umrzeć za Ciebie daj mi przyjnamniej,
Jakoś Ty cierpiał i umarł za mnie.



Jego Ekscelencya arcybiskup warszawski ks. Wincenty Chościak-Popiel w pracowni artysty-rzeźbiarza p. Władysława Rudlickiego w Częstochowie.

Ach! a im obu — krwi mej wylanie,
W zdrój nawrócenia obróć im, Panie!

(Podczas ostatnich słów wchodzi Arcykapłan).

SCENA XIX.

(Felicyta Arcykapłan).

Arcykapłan.

(zatrzymując się u wnijścia, spogląda na modlącą się).

Córko!

Felicyta (porywając się z ziemi).

Mój ojciec!

Arcykapłan (z łagodnością).

Córko moja droga!
Modlisz się, widzę, nowego snać Boga
Błagasz — o, córko! za kogo, i o co? —
Jestże on Bogiem tych, co cię kochali?
Jestże tak dobrym, tak mocnym, że mocą
Swą ich pocieszy, a ciebie ocali? —
Nie, Felicyto! nic on nie przeznaczy
Tobie, prócz śmierci; a nam prócz rozpaczy.
Toż są te łaski, te dary, za które
Zdradzasz swych bogów, ojca i naturę?

Felicyta (rzucając się do nóg ojca).

O, mój najmilszy ojcze! mój jedyny!
Teraz poznaję wielkość mojej winy,
Wielkość twej krzywdy: do czego mię zgubna
Przywiodła podłość, bojaźń samolubna!
Nie Bóg mi kazał uchodzić od ciebie.
On mi przed tobą kazał wyznać Siebie,
Wyznać ci prawdę, znieść wszelką mą dolę,
I w Nim zaufać, pełniąc Jego wolę.
A ja się bojąc twych uczuć wybuchu,
O wsparciu Jego zwątpiłam w mym duchu,
I śmiałam stanąć w świętym Jego progu,
Niewdzięczna ojcu, nieposłuszna Bogu!

Przebacz mi, ojcze! jak Bóg snać przebaczył,
Gdy do stóp twoich tak mię przywieść raczył,
Bym grzech mój zmywszy żalem, albo karą:
Lub czystą przed Nim stanęła ofiarą,
Lub ci, posłuszna świętej woli Pańskiej,
Służyła ze czcią córki chrześcijańskiej,
Byś w niej nawzajem uznał tego Boga,
Co, ach! nie ojca, ale nawet wroga
Kochać nam każe; co nic nie rozrywa,
Lecz tylko wszystkie uświęca ogniwa.
Ojcze! toż zbrodnią zwać będziesz u siebie?
A jeśli nie jest, za cóż mię od ciebie
Odrywać mają? Za co wlec zażarcie
Na pośmiech ludzi, na zwierząt pożarcie,
Na wstyd i hańbę? Za co wiek twój stary
Zatruwać męką mej niewinnej kary? —
Ojcze! i kogóż sąd twój o to wini?
Bóg-że nasz każe to czynić, lub czyni?
Bóg, co już, ojcze! raz do duszy twojej
Mówił przez miłość żony, matki mojej,
Co mnie snać zdała skończyć swoje dzieło,
Skończyć przez boleść, co szczęście zaczęło. —
Ojcze! tyś zdumion matki mojej wzmianką,
Tak! matka moja była chrześcijanką...

Arcykapłan (wybuchając).

Kto? ona! — kłamiesz! a raczej skłamali
Ci, co się zwiedli, co oczarowali...
Przeklęta wiara! co się śmie odważać,
By uwieść córkę, cześć matki spotwarzać!

Felicyta.

(podając złożony pargamin, który z za piersi wyjmuje).

Ojcze mój, czytaj! znasz pismo — choć drżeniem
Zmienione może, zmyte łez strumieniem,
Jej, gdy je kreśląc w swej ostatniej nocy,
Klęczała przy mej kolebce sierocej,
Ostatniem słowem, na wieczności progu,
Każą mi służyć prawdziwemu Bogu,
Każą Go poznać, aby wielbiąc w sobie,
Cnotą, miłością dać poznać i tobie.

Arcykapłan.

Skąd to masz? Kto ci to mówił?

Felicyta.

Kryspina.
Matki i moja piastunka jedyna,
Rządczyni domu twego, którąś nieraz
Zwał sam zesłanką Fortuny; a teraz
I z niej bierz dowód, jak w każdym swym stanie,
Każdą powinność pełnią chrześcijanie.

Arcykapłan (przeczytawszy).

O! to już nadto! Żal co mię obarcza,
Myśli i serca sił nań nie wystarcza.
Czuję, że wiary twojej nie odmienię,
Lecz i tyż uczuj moje przeznaczenie!
Uczuj los starca, co sam jeden w świecie,
Swoje jedyne, swe najmilsze dziecię,
Sam musi na śmierć podać w ręce kata,
Sam je potępić przed obliczem świata,
Sam błogosławić zajadłość twych wrogów;
I nie śmieć nawet, bez obrazy bogów,
Płakać cię, córko! — nawet w śmierci bolach
Nie módz choć roić ostatniej pociechy,
Że mię tam z matką na Elizu polach
Z wdzięcznemi jeszcze spotkacie uśmiechy.

Felicyta.

Ojcze, ach, ojcze, chciej tylko sam z siebie,
A Bóg nasz z nami złączy cię w swem Niebie!
Tam wieczna radość, tam wieczna swoboda,
Tam wieczna miłość — i równa nagroda
Łaski przed Panem, choć różna zasługa,
Tam z prześladowcy nawrócony sługa
Anielskie chóry rozraduje sobą. —
Tam Bóg nasz, ojcze, tam nas złączy z tobą!...

Arcykapłan.

Córko! nie pomnisz, jak widzę, żem stary,
Żem wiek mój strawił kapłanem swej wiary.
Mogęż ją zmienić z twojem uniesieniem? —
Dąb nie jak trzcina ima się płomieniem;

W duszy miotanej, jak wzburzone morze,
Niebo się jasno odbijać nie może.
Odtąd się nie bój mych gniewów wybuchu,
Cześć Bogu twemu nieś w sercu i w duchu,
Lecz nie zatruwaj dni moich ostatka,
Czyń, co ci każe i Bóg twój, i matka.
Żyj, mnie starcowi by zamknąć powieki,
I bym tam z wami mógł ożyć na wieki.
O, córko moja! chciej — jest jeszcze droga...

Felicyta.

Byle dla ludzi nie zaprzeć się Boga!

(D. c. n.)





Jego Ekscelencya ks. Arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel na Jasnej-Górze w Częstochowie przy budowie stacyi Męki Pańskiej.

W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XIV.

W jednej z narożnych baszt górnego zamku olsztyńskiego, przed suto płonącym ogniem na kominie, siedziało na dębowych, pięknie rzeźbionych krzesłach trzech mężów.

Byli to: graf Wrzeszczewicz, przy nim Szwed, komendant zamku, i Zaklika.

Ten ostatni ledwie się trzymał w głębokiem krześle, obłożony poduszkami i wielce zmieniony.

Był to raczej starzec, niż wczorajszy jeszcze butny zabijaka.

— Wystawcie sobie, wasze miłościе—mówił głosem zdławionym— miałem już przed oczyma cieluści piekielne, wieczne potępienie duszy i ciała, paliły mnie i pożerały męki niewypowiedziane, gorączka płomieniem owładnęła serce... Zatracenie!... zatracenie!... zguba duszy i ciała tuż... tuż... blizkie były... Tej chwili nikt nie zrozumie, nikt nie odczuje, kto sam nie konał, komu śmierć nie ściskała gardła lodowatemi szpony... Jam tego doświadczył! a cały chór dyabelski nucił mi iście piekielne melodye, od których krzepnie szpik w kościach... Gorzałem... ginąłem... na wieki zapadałem w otchłań potępienia wiecznego...

Tu Zaklika umilkł na chwilę, oblicze jego nagle rozpromieniło się, twarz szkaradna, hańbą występku napiętnowana, przybrała wyraz jakby innego, szczęśliwego człowieka, krwawe oczodoły, lnianą przepaską osłonione, wzniosły się ku górze.

— Wtedy wyrzekłem imię: Marya! — mówił dalej — przypomniałem sobie pierwszy pacierz, który ze mną matka moja odmawiała...

powtórzyłem zbolałemi usty: „Maryo, Królowo Nieba i ziemi, ratuj mnie!“ Jakoż pierzchły poczwary piekielne.. cofnęły się w ciemną przepaść złowieszcze ślepie szatanów, ich zgrzyt i chrzęst kościotrupi umilkł... Przed oczyma moimi cień matki zmarłej w bieli księżycowej zię zjawił...

— „Ocalonyś, boś imienia Maryi wezwał!“ — głos się dał słyszeć, głos, który dla mnie już nigdy zapomnianym nie będzie... Niechaj gromy we mnie uderzą, niechaj zginę, ale nie zaprę się nigdy tego światła, które mnie z czeluści piekielnych wyrwało... Chcę ocalić duszę od zguby wiecznej... chcę dobrze, nie źle czynić... Na Boga, na Maryę, chcę odtąd iść po dobrej drodze.. po drodze pokuty...

— Waryat! — syknął Wrzeszczewicz i z podełba spojrzał na Zaklikę, a później z uśmiechem na komendanta zamku.

— O jakiej Maryi on gada? — mruknął Szwed niechętnie i kazał przynieść wina.

— On majaczy—mówił z przekąsem graf—widocznie w bagniskach leśnych zgubił nietylko trzos, którym się opasywał, ale i piątą klepkę w głowie...

Żartowali, ale bez humoru. Zmiana, która zaszła w całej istocie takiego, jak Zaklika zabijaki i zbója, zastanawiała ich, dawała dużo do myślenia.

Co za siła przeistoczyła tego człowieka?

Wtem do żelaznych podwoi komnaty ktoś zapukał.

— Wejść! — rozkazał Szwed, komendant zamku.

Drzwi się rozwarły, ukazał się w nich rycerz w poszarpanej zbroi, w strzaskanym pancerzu.

— Walter! — zawołał Szwed — a z tobą co się stało?

— Zatraciłem najlepszy hufiec rajtaryi... — odrzekł przybyły — ledwiem z życiem uszedł...

— Co się stało?

— Moc chłopstwa i pancernych przepełnia okoliczne bory, niczem ul pszczoły na wiosnę...

— Jakto, już pod zamekośmielają się zachodzić?...

— Co zamek!?... Oni mówią, że król ich tułacz Jan Kazimierz wraca... Pod Częstochową wre walka aż ziemia drży od gromów armatnich... Oni zaś, jako stado wilków i odyńców przepełniają okoliczne bory, aby się rzucić na nas.. Złe czasy nastają... Tylko dwudziestu jeźdźców wróciło.

— Co mówisz?... — krzyknął Wrzeszczewicz wraz z komendantem zamku — toć bez mała pół tysiąca żołnierzy wyprowadziłeś z zamku.

Walter chwycił się za głowę, poczem łzy rzuciły mu się z oczu.

— Zguba! zguba! — krzyknął — nie żołnierska to rzecz płacz... alem patrzył na śmierć tych walecznych, których nadaremnie oczekują

matki i żony w drogich północnych, skandynawskich krainach, pozwólcie, miłościwi moi, że łzy płyną.. Na ludzi Czarnieckiego trafiłem i na czerń chłopstwa... Na nic męstwo, odwaga, znajomość, kunszt rycerski, oni nie gorzej od nas walczą i rzecz dziwna, walcząc—śpiewają... W moczarach i leśnych roztopach zatraciłem mój hufiec... Ot, graf Wrzeszczewicz świadkiem, czy można było walczyć zwycięsko... Ci żelaźni rycerze z hufców Czarnieckiego rzucili i jego wielmożność w moczary wraz z rumakiem... Za cud uważam, że oglądam waszą miłość!

Skrzywił się graf, wyciągnął nogi ku jasnemu płomieniowi ogniska i milcząc, potwierdzająco kiwał głową.

— Mości komendancie — rzekł przez zęby — każ odejść temu kawalerowi. Strach ma wielkie oczy... Nazbyt go się napatrzył...

Pobladł Walter.

— Mości grafie — zawołał — wasza miłość zapomina, że ma przed sobą rycerza szwedzkiego...

— No, no uspokój się.. jutro inaczej na świat będziesz patrzył...

— Kto wie, czy inaczej?... Jam w błocie nie siedział... Niech wasza miłość nie zapomina, że gdyby nie moja pomoc, kto wie, czy rozmawialibyśmy obecnie... Z ludźmi Czarnieckiego i z rzeszą ciemną chłopstwa, co jak szarańcza z ziemi zdaje się wyrastać—żartów niema!... Niech wasza miłość wie, że trzystu mężnych synów północnej krainy dziś dało gardło... stu przepadło w bagniskach...

Zaledwie dwudziestu jeźdźców ze mną wróciło na zamek...

— O, wielki Boże! — zawołał komendant, powstając — aż tak wielkie straty!...

— Byłyby większe, niktby do zamku nie wrócił, gdybym w ucieczce śpiesznej nie szukał ratunku...

Zamilkł, ponure milczenie zaległo komnatę.

— Przeklęty kraj! — syknął komendant.

— Po trzykroć przeklęty! — rzekł z gniewem Walter.

— Mówisz, że chłopstwo wam dokuczyło? — zapytał Wrzeszczewicz.

— Chłopstwo i pancerni Czarnieckiego... Ale co to dokuczyło!... zgubiło nas... Toć nie mogliśmy nawet odbić im tych białogłow, o które waszej miłości chodziło...

— A ileż ich tych białogłów było?

— Dwie w karocy i dwie wśród chłopstwa, widać chore, senne, bo na noszach je nieśli... Księżniczki chyba jakieś, z takim impetem ich broniono...

— Gdzież tam księżniczki — mruknął graf Wrzeszczewicz — te na noszach, to proste szlachcianki...

— Dziw nad dziwy! — kręcił głową Walter — chłopstwo broniło ich jak królewien... A i pancerni otoczyli je jakby murem...

— Zwyczajne szlachcianki!....—mruczał graf, gryząc gniewnie wargi.

— Jedno przecież źle się stało? — bąknął Walter.

— Cóż takiego? — pytał komendant.

— Żeśmy w potyczce zranili przyjaciółkę od serca jaśnie wielmożnej pani Grudzińskiej... Kula jakaś błędna trafiła w karocę, w której ta jejmość siedziała, przebiła drzewo i trafiła w ramię towarzyszki wojewodzinej...

— Ależ to rzecz straszna! — krzyknął komendant zamku — wojewoda Grudziński jest naszym największym i najpotężniejszym przyjacielem... Nuż weźmie to do serca!...

— Stało się!... Ludzie wojewodzinej hardo się stawiali, nie chcieli zboczyć do zamku.

Komendant biegał po komnacie jak szalony.

— Co za wieści! Co za wieści! — powtarzał. — Wkrótce sam jeden na tem zamczysku zostanę!...

Ogień na kominie przygasał, mrok się robił.

— A tych dwóch białogłów, które chłopstwo na noszach niosło, dlaczego nie udało wam się zabrać? — zapytał nagle graf.

— W żaden sposób nie można było!... Wojewodzina Grudzińska zajęła się niemi... W kolebie przy sobie umieścić kazała... Powtarzam, księżniczki to chyba jakoweś...

— E!... toż mówię, zwyczajne szlechcianki!... — mruknął graf.

— To dziw w jakiej miłości u ludu i zachowaniu! — odrzekł Walter.

Wrzeszczewicz pogrążył się w zadumie.

— Księżniczki!... — mruczał gniewnie.

Nagle czyjeś kroki dały się słyszeć na zewnątrz i zakołatano do drzwi.

— Kto tam? — zapytał komendant.

— Oficer deżurny! — brzmiała odpowiedź.

— Co się stało?

— Posłaniec od jego ekscelencyi jenerała Müllera samotrzeć przypadł do zamku i o posłuchanie prosi.

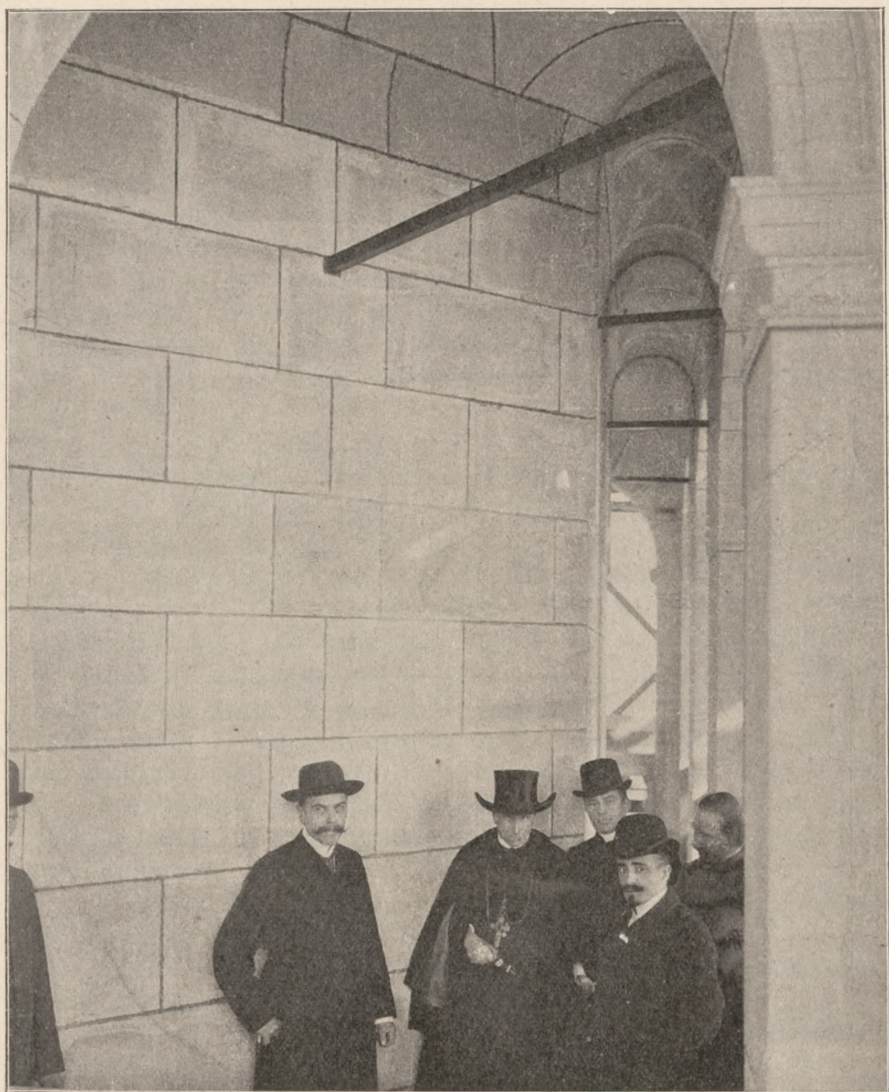
— Niech wejdzie!

Niebawem wszedł do komnaty człowiek, od stóp do głów zbrojny, śniegiem obsypany.

— Wasza miłość — rzekł po szwedzku — jenerał z całą siłą wzywa was do siebie...

Komendant złapał się za głowę.

— Gdzie rozkaz? — zapytał.



Jego Ekscelencya ks. Arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel u szczytu kamiennej konstrukcyi nowobudowanej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie.

— Oto jest! — odrzekł oficer, oddając mu zwitek pargaminu.

Rozwinął go Szwed szybko i zaczął czytać.

— Na Boga! — zawołał — jenerał każe mi zamek wysadzić w powietrze i z załogą do siebie pod Częstochowę dążyć.

— To być nie może! — wrzasnął Wrzeszczewicz i porwał się z krzesła.

— Ot, macie, czytajcie, mości hrabio! — warknął Szwed — rozkaz wyraźny!...

Istotnie tak było... Miller rozkazywał załodze Szwedzkiej opuścić zamek i wysadzić go w powietrze...

Graf Wrzeszczewicz wzdrygnął się.

— Po co niszczyć tę wspaniałą warownię! — mruknął. — Müller zwaryował!... Wstrzymaj się, komendancie, ja mu to wyperswaduję... Zaraz do niego wracam!... Już wypocząłem...

— Zapóźno! — rzekł Szwed ponuro — rozkaz mam wyraźny... nie będę zwlekał...

— Ja ci rozkazuję, wstrzymaj się!... — nalegał graf.

— Nie mogę!... Ja słucham Müllera... On tu najstarszy stopniem.

Graf, widząc na co się zanosi, kląć zaczął.

Nigdy nie przypuszczał, aby rzeczy taki przybrały obrót.

— Müller najwidoczniej chce uledz... Szturm się do bram Jasnej-Góry nie udał... To być nie może... Hej, komendancie, konia... Za pół godziny będę pod namiotem jenerała Müllera... Zobaczysz, że zmieni rozkaz!... Zobaczysz, że na długie lata zostaniemy w Olsztynie, że króla Karola Gustawa gościć tu będziemy!... Hej, konia!... Przebóg, co się dzieje, to chyba koniec świata!... Nie, to być nie może!... Co?... ten piękny zamek wysadzić w powietrze?... Ależ to barbarzyństwo!...

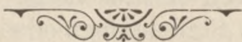
I zerwał się graf, i jak opętany wybiegł na dziedziniec zamkowy, zażądał konia i w towarzystwie kilku jeźdźców galopem puścił się drogą do Częstochowy.

— Müller zwaryował!... zwaryował!... — powtarzał. — Ale ja mu to muszę, muszę z głowy wybić!..

I bódł konia ostrogą i pędził jak wicher pod Częstochowę, gdzie paliły się ognie obozowe potężnej armii oblężniczej.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



Nowiny z Częstochowy.

J. E. ks. Arcybiskup warszawski na Jasnej-Górze. W dniu 26 września, wieczorem, zawitał na Jasną-Górę najdostojniejszy arcybiskup warszawskiej archidyecezyi J. E. ks. Wincenty Chościak-Popiel, aby pobłogosławić związek małżeński wnuczki swej p. Zofii Michałowskiej z p. Leonem Mańkowskim, profesorem Wszechnicy Jagiellońskiej. Uroczystość ta odbyła się dnia następnego, w kaplicy Matki Boskiej, prześlicznie przystrojonej kwieciem i wysłanej dywanami. W dniu następnym, t. j. w środę, najdostojniejszy arcypasterz, po odprawieniu rano Mszy Ś-tej, wizytował bez odpoczynku aż do godziny 12 w południe cały klasztor, wypytując o wszystkie szczegóły bieżących robót. Z podziwem patrzyli otaczający, jak najdostojniejszy arcypasterz niestrudzenie zwiedzał klasztor, jak wchodził po schodach na szczyt nowej wieży Jasnogórskiej, skąd zeszedłszy bez odpoczynku obszedł cały teren klasztoru po za wałami, gdzie stanąć mają stacye Męki Pańskiej, a następnie zwiedził oddział robót kamieniarskich i czasowo urządzoną na terytoryum klasztornem pracownię artystyczną rzeźbiarską p. Władysława Rudlickiego, mieszczącą figury Świętych, przeznaczone na wieżę Jasnogórską. Zwiedziwszy jeszcze Wielki kościół i zabudowania klasztorne, odjechał Najdostojniejszy Arcypasterz o godzinie 3-ej, odprowadzony na kolej przez przewielebnego ks. Przeora klasztora Jasnogórskiego, ks. prałata Waberskiego, dziekana Częstochowskiego, ks. redaktora „Dzwonka Częstochowskiego" i licznie zebrane duchowieństwo.

Kompania z Chybic, dyecezyi Sandomierskiej. Pod przewodnictwem pasterza swego, ks. Grzegorza Stadnickiego odwiedziła Jasną-Górę kompania z parafii Chybice, dyecezyi Sandomierskiej. Miło jest słyszeć z ust przewodnika-kapłana, że owieczki jego w ciągu całej pielgrzymki prze-

jęte były duchem pobożności i uległości. Pożytku duchowego wiele odnieśli, bo się wszyscy wyspowiadali; okazywali troskliwą opiekę o kilku chorych, którzy się znaleźli w kompanii, — nadto zwiedzając po drodze wiele pięknych i starannie odnowionych kościołów, nabrali otuchy, że i oni prędko doprowadzą swój kościół parafialny do należytego porządku, który znajduje się w opłakanym stanie. Daj Boże, aby przy pracy pasterza i ofiarności swojej zdołali tyle pożądany cel jak najprędzej osiągnąć. Niech im w tak zacnym dziele dopomaga Opiekunka wszystkich dobrych zamiarów i czynów—Najświętsza Panienka Częstochowska.

Kompania ze Staromieścia, dyecezyi Kieleckiej. Dnia 14 września przybyła na Jasną-Górę kompania ze Staromieścia, dyecezyi kieleckiej, w liczbie osób około 800. Lud z tej kompanii widać zamożny — za kompanią bowiem jak opowiadano, przybyło wozów około 40 w dobre zaprzężonych konie. Liczna kompania, jak świadczyli przewodnicy, od chwili wyjścia ze swego parafialnego kościołka aż do przybycia na Jasną-Górę — zawsze odznaczała się wzorowym porządkiem i posłuszeństwem dla przełożonych. Samiśmy podziwiali ten porządek i karność, widząc kompanię Staromiejską wstępującą na Jasną-Górę — ale jeszcze więcej, widząc ją w tym samym porządku i skupieniu ducha słuchającą nauki wypowiedzianej do niej przez wprowadzającego kompanię zakonnika.

Na czele kompanii niesiono krzyż, otoczony wieńcem chłopców ubranych w komeżki i niosących tak zwaną „koronę" z liści i kwiatów uwitą. — „Korona" końcami stykała się z rzędem chłopczyków z lewej — dziewcząt zaś z prawej strony. — Za krzyżem w przystojnej odległości dziewczęta w bieli niosły „Imię Jezus", następnie „Imię Maryi", obok zaś powiewały sztandary. — Wieniec dziewic w bieli, niosących „koronę", otaczał 3 księży, wprowadzających kompanię. — Za księżmi szedł lud: z prawej strony kobiety, z lewej mężczyźni. — Naprzód śpiewacy — śpiewaczki, następnie młodzież, wreszcie starsi. Ojciec duchowny tych pątników, nie mogąc osobiście kompanii przewodniczyć, wyprzedzając lub dążąc za kompanią, z daleka czuwał nad nią i przybył na Jasną-Górę, aby ją spowiadać. Kampania Staromiejska w tym samym wzorowym porządku wyszła z Jasnej-Góry dnia 16 września.

Kompania z Sieciechowic, dyecezyi Kieleckiej. Wzruszający widok przedstawiała kompania z Sieciechowic, dyecezyi Kieleckiej, która przybyła, mając na czele pasterza swego, magistra Ś-ej Teologii ks. Czesława Wojnę. — Od Sieciechowic do Częstochowy przestrzeń nader znaczna,

a czcigodny Pasterz odbył ją pieszo, ofiarując zdrowie i siły na cześć Bogarodzicy, której łaski tak gorąco pragnie zaskarbić dla powierzonych swej pieczy owieczek. Widzieliśmy w tej kompanii rzeczy podziwu godne. Oto na każdym, od najmłodszego do najstarszego z uczestników tej budującej pielgrzymki, widać było uroczyste uczucie szczególnej wdzięczności dla swego kapłana-przewodnika, albowiem od bardzo wielu lat ich pielgrzymki do stóp Jasnej-Góry pozbawione były opieki kapłańskiej. Wzorowy porządek, pobożność głęboka, silny duch wiary, który wiał od tej gromadki, zwracał uwagę wszystkich. Po trzechdniowym pobycie kompania z Sieciechowic opuściła świątynię jasnogórską wzmocniona na duchu, pokrzepiona Sakramentami Świętemi.

Czcigodny ks proboszcz Wojna szczególne położył zasługi dla swoich parafian, na które radzi jesteśmy zwrócić tu uwagę ogółu, przez zaprowadzenie wzorowego śpiewu kościelnego. Boć niezwykłe to widowisko, gdy w skromnym kościołku wiejskim w Sieciechowicach, podczas nabożeństw nieszpornych lub wielkopostnych, gromadka chłopiąt, stojąc przy pulpitach, z wprawą rutynowanych śpiewaków, wdzięcznie, z nut antyfonarza, wyciąga z największą dokładnością tony pobożnych melodyj. Tak samo na chórze, podczas uroczystych nabożeństw, natchnione nasze pieśni prastare, ujęte w artystyczną formę, przedziwnie działają na serca wiernych. Wzorowe także są nauki katechizmu, z wielkiem poświęceniem i nakładem umiejętnej pracy pedagogicznej odbywane z młodzieżą w kościele sieciechowickim. Niechaj za nie przyjmie i od nas Czcigodny Pasterz wdzięczne „Bóg zapłać!“

Kompania z Brzeźnicy, powiatu Noworadomskiego. Przyprowadził ks. Teofil Jankowski w asystencyi dwóch alumnów włocławskiego seminaryum: Jana Półreli i Antoniego Pajdzińskiego. Pątników były 1400. Przyszli podziękować Panu Bogu i Maryi Najświętszej za łaski, jakie otrzymywali przy budowie nowej świątyni. Wszyscy się wyspowiadali dzięki pracowitości i gorliwości swego. duszpasterza.

Kompania z Iwanowic, gub Kaliskiej. W tym roku odwiedziła Jasną-Górę liczna kompania z Iwanowic, miejsca urodzin przesławnego obrońcy Jasnej-Góry od Szwedów—ks. Augustyna Kordeckiego. Po odprawieniu modłów przed cudownym obrazem Bogarodzicy bogobojna drużyna zebrała się u stóp pomnika wielkopomnego obrońcy Jasnej-Góry i na tem miejscu zaniosła gorące modły za spokój jego duszy.

Wracającą pielgrzymkę do swych spólnych siedzib, powitał serdecznemi słowy gorliwy nasz pasterz ks. Jan Motylewski. W roku bieżącym dnia 9 lipca osadę tę nawiedził groźny pożar, który zniszczył przeszło 51 zagród.



Kompania z Sieciechowic, dyecezyi Kieleckiej, pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

Kompania ze Stawiszyna, gub. Kaliskiej. Przybyła na Jasną-Górę w połowie września, po wielu trudach, liczna kompania ze Stawiszyna. Z zachowania się uczestników tej kompanii widać było, że są owieczkami dobrego pasterza, pieczołowicie dbającego o ich prawdziwe dobro i zbawienie wieczne, na drugi bowiem dzień po przybyciu na miejsce kompania ta, z żalem serdecznym poszła do Starej Częstochowy na cmentarz grzebalny, dla oddania czci zwłokom ś. p. ks. Stanisława Grabińskiego, byłego proboszcza parafii Stawiszyn, zmarłego 28 sierpnia r. b. Tam, nad grobem kapłana-pasterza swego, zanieśli gorliwe modlitwy do Najświętszej Maryi Panny o spokój dla jego duszy.

Kompania z Liskowa, gub. Kaliskiej. Przybyła na Jasną-Górę dnia 2 września, pod przewodnictwem proboszcza ks. Wacława Blizińskiego, gromadka wiernych w liczbie 440. Wszyscy pielgrzymi odbyli spowiedź świętą w Liskowie, a Komunię świętą przyjęli na Jasnej-Górze. Całą drogę towarzyszyła im własna kapela, złożona z 12 osób, która na zmianę ze śpiewem ludu przegrywała pobożne pieśni. Pomimo że kapela (z włościan złożona) zaledwie przed paru miesiącami utworzoną została, gra jednak poprawnie, a to dzięki usilnej pracy miejscowego organisty p. Mystkowskiego, oraz dobrym chęciom muzykantów, schodzących się akuratnie prawie codziennie na lekcye. Kompania szła całą drogę we wzorowym porządku. Ofiarność parafian liskowskich na potrzeby kościoła jest znaczna. Na pamiątkę odbytej pielgrzymki złożyli kilkaset rubli, które po naradzie ze swym pasterzem duchownym przenaczyli na przyozdobienie swej świątyni.

Piękną ofiarę uczynił jeden z pielgrzymów liskowskich, Michał Andrzejewski, kupując ornat do kościoła filialnego w Strzałkowie. Andrzejewski jest największym dobrodziejem dla kościoła liskowskiego, pomimo że na grosz ciężko pracuje. Od kilkudziesięciu lat corocznie bywa na Jasnej-Górze i nigdy nie wraca bez szacownej pamiątki dla naszego kościoła. Tenże parafianin w tym roku funduje boczny ołtarz i obraz Świętej Rodziny kosztem 900 rubli.

Oby Bóg Wszechmogący we wszystkich parafiach naszego Kościoła katolickiego wzbudzał takie dusze pobożne. Zacny ten parafianin liskowski jest żywym dowodem, że ofiarność na cele piękne, szlachetne, nigdy człowieka nie zuboży, bo Opatrzność Boża cudownie rozmnaża dary swoje tym, którzy ich używają na dobre, a nie na hulanki i pijatyki.

Msza jubileuszowa. W dniu 20 września ks. Teofil Piotrkiewicz, proboszcz parafii Strożyska, dyecezyi kieleckiej, odprawił uroczystą wotywę w asystencyi starszych kapłanów przed cudownym obrazem Mat-

ki Boskiej na podziękowanie za łaskę, jaką mu Bóg Wszechmocny okazał, dozwalając przez lat 50 sprawować urząd kapłana. Dostojnemu Jubilatowi nadesłał J. E. biskup kielecki ks. Kuliński błogosławieństwo i życzenia jak najdłuższych lat pracy kapłańskiej.

OFIARY:

Na klasztor Jasnogórski.

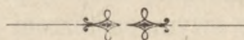
Sik. z Bar.	rb. 10 — kop.

Na kościół Ś-tej Rodziny w Częstochowie.

St. Hert. z Pet.	rb. — 15 kop.
J. Wys. z Gren.	„ 1 — „

Na biednych do uznania Redakcyi.

P. Lask. z Jar.	rb. — 40 kop.
M. Wier. z Woł.	rb. — 15 kop.





Kompania z Brzeźnicy, gub. Piotrkowskiej, pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

Nowiny z daleka i z blizka.

Rzym. Termin obchodu pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia przez Papieża Piusa IX dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny—zbliża się. Wiadomo, że jubileusz ten zostanie upamiętniony przez wszechświatowy zjazd czcicieli Maryi (tak zwany kongres Maryjny), przez wystawę zabytków, dotyczących czci Bogarodzicy i przez uroczyste nabożeństwo w kościele Ś-go Piotra. Kongres rozpocznie się w początkach miesiąca przyszłego, wystawa zaś w grudniu. Dnia 8 grudnia również Jego Świętobliwość Pius X ukoronuje uroczyście, w kaplicy chóru, w bazylice Ś-go Piotra, obraz mozaikowy, przedstawiający Niepokalane Poczęcie. Kongresem zajmują się kardynałowie: Vannutelli, Rampolla, Ferrata i Vives y Tuto, z pomocą: Ojca Hemptin przeora Benedyktynów, Ojca Ehre zarządzającego biblioteką watykańską, Ojca Carnier jenerała Karmelitów, Horacego Maruchi starożytnika, oraz innych wybitnych uczonych. Na kongres przybędą liczne pielgrzymki, pomiędzy zaś niemi ze Lwowa. Obradami zjazdu kierować ma arcybiskup Pizy ks. Piotr Maffi. Każdy uczestnik zjazdu otrzyma piękną kartę wstępu, z portretami Papieży: Piusa IX, Leona XIII i Piusa X, z odpowiednim napisem i z widokiem chóru w kościele Ś-go Piotra, gdzie nad ołtarzem umieszczony jest obraz, oczekujący na koronacyę. Obraz rzeczony jest kopią malowanego, stanowiącego dzieło słynnego malarza Bianchi, znajdującego się obecnie w kościele Najświętszej Panny Maryi Anielskiej. Kopia mozaikowa będzie uwieńczona koroną brylantową, o dwunastu gwiazdach, wartości 50 tysięcy franków. Wystawa Maryjna zajmie ośm wielkich sal w pałacu lateraneńskim. Zgromadzą się tam wspaniałe dzieła malarstwa i rzeźby, oraz druki, począwszy od najdawniejszych czasów. Z nadesłanych już przedmiotów

zwraca uwagę prześliczna monstrancya z kutego srebra, z XIII stulecia, wyobrażająca Niepokalaną Dziewicę, podtrzymującą Hostyę Ś-tą; u stóp Bogarodzicy znajdują się figury Świętych: Dominika, Tomasza z Akwinu, Hyacynta i Piotra. Z Kartaginy nadesłano bardzo ciekawe dzieło, dotyczące czci Matki Bożej w Afryce, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Z Wilna przysłano doskonałą podobiznę obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Codzień zresztą nadchodzą na wystawę cenne przedmioty, mające związek z czcią Niepokalonej Dziewicy i wątpliwości nie ulega, że wystawa należeć będzie do w całem znaczeniu świetnych.

= Jego Świętobliwość otrzymał niedawno w darze wspaniałą albę, wykonaną na drutach przez wychowanice zakładu dla niewidomych w Lyonie. Biedne kalekie dziewczęta, wyuczone tej roboty jedynie za pomocą dotykania, pragnąc okazać Ojcu Ś-mu swoją cześć i miłość, poświęcały na wykonanie onej wszystkie wolne chwile, nawet skracając swój spoczynek nocny o dwie godziny. Do alby dołączyły list, wykłuty na papierze, gdyż tym sposobem niewidomi zastępują sobie pismo. Papież z rozrzewnieniem przyjął dar, wzamian uszczęśliwił dziewczęta błogosławieństwem apostolskiem. — Dyecezyanie z Treviso przysłali Ojcu Ś-mu, jako dar, wspaniałe, bogato oprawne album, zawierające adres, opatrzony tysiącami podpisów.

= Na posłuchaniu niedzielnem Jego Świętobliwość przyjmować raczył kilkanaście tysięcy osób, należących do parafii Santa Maria in Traspontina. Dzieci tych osób wykonały Kantyczki. Ojciec Ś-ty, wypowiedziawszy do zgromadzonych naukę, udzielił im błogosławieństwa apostolskiego, podczas którego, z okien gmachu, otaczającego olbrzymi dziedziniec, na którem odbywało się posłuchanie, wypuszczono mnóstwo gołębi. Ptaki, szybując w górę, sprawiały widok bardzo malowniczy, ku czemu przyczyniło się przystrojenie dziedzińca chorągiewkami trójkolorowemi z napisem: „Niech żyje Pius X!“

= Z Francyi przybyła tłumna pielgrzymka, kilka tysięcy osób licząca, pod kierunkiem ks. Germaina, arcybiskupa Tulonu. Pomiędzy pątnikami znajdowało się 132 studentów i 600 robotników, mężczyzn i kobiet.

= Ś-ta Kongregacya Obrzędów naradzała się w sprawie ubłogosławienia (beatyfikacyi) kilku świętobliwych osób, a także w sprawie kanonizacyi Błogosławionego Gerarda Majella, braciszka ze zgromadzenia Ojców Redemptorzystów, urodzonego w roku 1726. Beatyfikacyi dostąpić mają: ks. Bellesini ze zgromadzenia Ojców Augustyanów, któ-

ry żył w początkach ubiegłego stulecia; Siostra Małgorzata, Karmelitanka bosa, i świętobliwa Anna Marya Taigi, zmarła w r. 1837. Ta ostatnia była kobietą rzadkich cnót, matką ośmiorga dzieci, obdarzoną darem przepowiadania przyszłych zdarzeń i czytania w myślach ludzkich. Mizerne jej mieszkanie nawiedzało mnóstwo osób wysoko postawionych, a nawet razu pewnego odwiedził je, z polecenia Papieża Piusa VIII, jeden z kardynałów. Mogła żyć wygodnie i bez troski, lecz odrzucała wszelkie dobrodziejstwa, pozostając wierną ubóstwu. Zwłoki jej, pochowane na jednym z cmentarzy rzymskich, Papież Grzegorz XVI kazał wydobyć i złożyć w kościele Ś-go Jana Chryzostoma.

= Pierwszą rocznicę zgonu Leona XIII obchodzono bardzo uroczyście nabożeństwem w kościele Ś-go Piotra. Mszą Ś-tą, w obecności Ojca Ś-go, celebrował kardynał Agliardi, w otoczeniu wielu kardynałów. Jego Świętobliwość siedział na tronie w białej infule i ponsowej kapie, kolor ten bowiem jest dla Papieży żałobnym. Oprócz kardynałów, znajdowało się w świątyni mnóstwo biskupów, patryarchów, zakonników, rodzina zmarłego Papieża, przedstawiciele panujących i kilka tysięcy innych osób. Muzyką i pieniem kierował ksiądz Perosi. Po nabożeństwie, Ojciec Święty udał się do grobowca, w którym złożono zwłoki zmarłego Papieża tymczasowo i po krótkiej modlitwie cichej, odmówił głośno z kardynałami psalm „De profundis". Grobowiec Leona XIII w kościele Ś-go Jana Lateraneńskiego jest już wykończony, ale jeszcze nie oznaczono czasu przeniesienia zwłok z bazyliki Ś-go Piotra. Również w kościele Ś-go Jana Lateraneńskiego ma stanąć pomnik zmarłego Papieża. Budową onego zajmują się kardynałowie: Rampolla, Ferrata, Vannutelli, Agliardi, Macchi, Tripepi. Będzie ten pomnik, wykonany według projektu artysty-rzeźbiarza Tadolini, który przedstawił Leona XIII w postawie stojącej, błogosławiącego wiernych.

Z Konina. Po raz pierwszy od lat 40, w dniu 8 września, na uroczystość Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, w starej świątyni w Bieniszewie, zostało odprawione nabożeństwo. Z sąsiedniej parafii Gosławice przybyła kompania pod przewodnictwem ks. Majewskiego, który, po odprawieniu Mszy świętej, wypowiedział podniosłe kazanie. Licznie zebranych słuchaczy napełniło błogie uczucie radości, że po tylu latach w tej opuszczonej świątyni przed umiłowanym obrazem Najświętszej Maryi Panny wznowioną została Msza święta i to miejsce uświęcone krwią męczenników, stało się celem pobożnych pielgrzymek. Cześć ci, kapłanie za twoje trudy i starania, które podjąłeś, żeby przysporzyć chwały na tem miejscu Królowej Niebios. Oby jak najprędzej świątynia ta stała się godnym przybytkiem pańskim.

F. J.

Z Ameryki. Wielebny Księże Redaktorze! Pozwalam sobie przesłać Wielebnemu ks. Redaktorowi wiązankę wiadomości o rodakach zamieszkałych tutaj, w Paranie.

Kolonia nasza Rio Claro jest jedną z nąjliczniejszych kolonii polskich stanu Parana. Emigracyę naszą tutaj osiadłą podzielić można na trzy odłamy, mianowicie: wychodźców z Królestwa Polskiego (tych najwięcej), dalej z Galicyi; wreszcie z księstwa poznańskiego. Wychodźtwo nasze datuje się od lat 13. Wszyscy wychodźcy są wyznania rzymsko-katolickiego, jest jeszcze tutaj sporo Rusinów z Galicyi wyznania grecko-katolickiego. Klimat mamy umiarkowany, lecz wskutek gwałtownego trzebienia lasów temperatura z każdym rokiem coraz bardziej się oziębia. Wszyscy nasi wychodźcy zajmują się gospodarką. Mniemanie, jakie krąży pośród ludu w Europie, że emigracya tutejsza otrzymała grunta za darmo — jest zupełnie mylne, gdyż każdy za otrzymany grunt płacić musi. Ilość gruntu kolonisty równa się naszej włóce, lecz odliczywszy wąwozy i parowy, których spotykamy tu na każdym gruncie dość sporo, jakaś część tylko prawdziwie do uprawy przydatną być może. Najwięcej sieją i sadzą tutaj: fasolę, żyto, kukurydzę i bataty (rodzaj kartofli, tylko więcej słodki, lecz za to mniej smaczny). Fasola jest tutaj najgłówniejszym pokarmem zgoła wszystkich, począwszy od najbiedniejszego, a skończywszy na najbogatszym, różnica tylko może uczuwać się w przyprawie. Słowem niema w Paranie obiadu bez fasoli. Wiele także rośnie tutaj herbaty, której gatunek jednak jest niższy od chińskiej; przed laty kilku dostarczała ona jeszcze niezły zarobek kolonistom, lecz już czwarty rok, jak na cenie znacznie opadła wskutek konkurencyi Stanów sąsiednich respublik: Argentyna, Uragwaj i t. p. Największą dla gospodarstwa tutejszego klęską jest mrówka i różne żarłoczne ptactwo, od czego dniem i nocą opędzać się potrzeba, chcąc zebrać plon z pola.

Tutaj żadne ziarno nie utrzyma się dłużej nad pół roku, o przechowaniu zapasów na lata następne ani myśleć nie wolno; wszystko ziarno robactwo zepsuje, — wobec tego wielki urodzaj nie sprawia tu gospodarzowi wielkiego zadowolenia, gdyż za bezcen wszystkie zapasy chcąc nie chcąc oddawać musi. Drugą też niemniej ważną klęską dla gospodarza tutejszego jest prawdziwy brak jakiejkolwiek komunikacyi, gdyż przez to zbyt produktów jest znacznie utrudniony; droga wozowa zaledwie gdzieniegdzie; wszystko więc przeznaczone na sprzedaż dźwiga kolonista na ramionach po najkarkołomniejszych drogach — do wendy (sklepu), gdzie na produkta swoje otrzymuje potrzebny mu w domu towar (handel zamienny); gotówką kupiec nie chce płacić. Dlatego też kolonista zawsze jest goły, jak święty turecki.

Wobec wielu rozczarowań doznawanych przez naszych rodaków w tym rzekomym raju parańskim, pozostaje mu jedyna pociecha—jest nią kościół. Niemożna nigdy odmówić ludowi naszemu gorącej pobożności; to też w dnie świąteczne, bez względu na odległość, gromadami na nabożeństwo przybywają. Kościół pobudowali koloniści prawie własnym kosztem. Duszpasterzem jest ks. Ludwik Przytarski, zacny kapłan i prawy polak. W miesiącu marcu roku bieżącego odbywały się tutaj misye; tysiące wiernych przystępowało do Stołu Pańskiego. Rusini także mają swoją cerkiew i swojego księdza; pod względem więc religijnym szczęśliwym się czuje nasz ludek, ponieważ wszystkie duchowe potrzeby swoje zaspokoić może. Oświata za to pomiędzy ludem naszy stoi bardzo, a bardzo na nizkim stopniu i pozostawia wiele do życzenia. Rodzice sami mało co umieją, a o własne dzieci nic nie dbają. Oby jak najrychlej przejrzeli na oczy!

Za bezpłatne przesyłanie dla czytelni mojej przy szkole „Dzwonka Częstochowskiego", pisma tak wielce budującego, przyłączam Wielebnemu ks. Redaktorowi z serca płynące Bóg zapłać!

Naucz. Hip. Skawiński.

O nowej książce. Dzielimy się z Czytelnikami nader miłą wiadomością. Oto współpracownika „Dzwonka Częstochowskiego", znanego poetę Karola Hoffmana spotkało wielce zaszczytne odznaczenie. Jego Ekscelencya ks. biskup sandomierski po przeczytaniu świeżo wydanego zbiorku poezyj p. t. „Bogu i bliźnim" (część wierszy pomieszczonych w tym zbiorku była drukowana na szpaltach „Dzwonka Częstochowskiego") najłaskawiej nadesłał autorowi list następującej treści:

Szanowny Panie!

„Bogu i bliźnim" — to treść religii świętej Chrystusowej, symbol wiary katolickiej, skarb duszy niesmiertelnej, radość sumienia prawego, ozdoba społeczeństwa, rzeczywiste uszczęśliwienie ludzkości cierpiącej, zasługa na tem padole płaczu prawdziwa.

Z całego serca mego winszuję Panu pracy pod tak wzniosłem hasłem, błogosławię z duszy dalszą drogę w tym kierunku i za nadesłaną książkę serdecznie dziękuję.

Ks. St. Zwierowicz
Biskup sandomierski.

3—X 1904 r. Sandomierz.



NIE ZABIJAJ!

Kiedy wódkę wynaleziono i jak jej użycie się rozpowszechniło?

Grzeszy niewstrzemięźliwością czyli opilstwem każdy taki człowiek, który wiele używa trunków rozpalających, czyli alkohol w sobie zawierających, jako to: piwa, wina, wódki i t. d.

Niewstrzemięźliwość datuje się od bardzo dawnych czasów, a według pisma ś-go, już od czasów Noego. Opowiada Pismo ś-te, iż chodzili za pożądliwościami serca swojego, sami żyli wedle ciała i życiem czysto materyalnem gasili ducha; za czasów zaś Noego jedli i pili i żenili się, aż przyszedł potop i zabrał wszystkich.

Opilstwem jednak zaczęli grzeszyć po potopie i wyrabiać trunki upajające jeszcze przed przyjściem Mojżesza, gdyż Mojżesz zakazał używać tychże (Ks. V. 14. 26 i 29. 6) osobom służbie Bożej poświęconym. Pierwszym zaś człowiekiem, który siłę wina skonstatował i upił się naprawdę, był wedle pisma ś-go (I Gen. 9. 20) Noe, który po potopie wyszedłszy z arki, nasadził winnice i pijąc wino, upił się.

Że i później po Noem się upijali, osobliwie winem, nie ulega wątpliwości, ale i oprócz wina wyrabiali inne silniejsze napoje *sicera* zwane, które zapewne z owoców lub zboża były wyrabiane, coś zapewne na kształt wódki. Tej jednakowoż bardzo rzadko zapewne używano, albo też używać zaprzestano, gdyż nigdzie więcej Pismo ś-te, ani historya o tem nie wzmiankuje.

Początek wódki właściwej datuje się dopiero od kilkuset lat, a nikt jeszcze nie marzył o wódce, chociaż zapewne winem i sicera czasem się upijano. Dopiero około roku 800 po narodzeniu Chrystusa Pana wy-



Kompania z parafii Lisków, gub Kaliskiej, pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

nalazł pewien Arab, nazwiskiem Rhazes, sztukę destylowania pewnego płynu, którego skutki jednak długo pozostały w tajemnicy.

Zauważono, że napój ten zapala policzki czerwonością, czyli gorączkowym rumieńcem, i dlatego nazwano ten płyn „Alkoholem", t. j. barwinkiem.

Dwieście lat później dostał się ten płyn, czyli ta woda rozpalająca, do Europy. Lekarze, zauważywszy skutki czystego alkoholu, oddali go na usługi medycynie do aptek.

Sztuka destylowania pozostała dla Europejczyków aż do XIV, a dla Amerykanów do XVII stulecia tajemnicą.

Dopiero około roku 1550 dostała się wódka, jako środek wzmacniający pomiędzy strudzonych pracą górników w kopalniach kruszców w Niemczech. Stąd rozlała się olbrzymim strumieniem palącej lawy po całej Europie.

Dziwnem się wydaje każdemu myślącemu człowiekowi, że już od czasów Noego mogły tak moralnie upadłe istoty egzystować, które Boską iskrę rozumu czasowo topiły w upajających trunkach, i które z wysokiego stanowiska człowieka zejść mogły do nizkości bezrozumnych stworzeń.

Niestety, sam duch ludzki posłużył do tego, aby z pożytecznych darów natury wytworzyć najszkodliwszy napój i w ten sposób popełnić straszliwe samobójstwo na samym sobie.

Wszelkie te środki upajające, których liczba i nadużycie coraz to mocniej aię wzmagały, stały się okropną plagą ludzkości. Szkodliwem używanie jest w znacznej ilości wina i piwa, i najszkodliwszym, najnikczemniejszym, najobrzydliwszym i najbrudniejszym jednak ze wszystkich trunków jest wódka.

Przez wiele stuleci, dla swojej wielkiej podniecającej siły przez lekarzy w aptekach strzeżona, zdołała się przekraść podstępnie, jako niewinny środek wzmacniający, pomiędzy niemieckich górników i wogóle w społeczeństwo tak skutecznie, iż rozpowszechniła się niezwykle daleko, szeroko i szybko.

Wojna, to straszna kara Boska, która nigdy sama nie przychodzi, ale jeszcze wiele innych klęk na ludzkość sprowadza, sprowadziła również to największe nieszczęście na ludzkość: „ogólne rozpowszechnienie się wódki". Od 30-letniej wojny zetknięto się bliżej z nią. Od siedmioletniej wojny użycie wódki już było ogólnem, a od czasów rewolucyi francuskiej rozwielmożniła się tak dalece, że przy końcu zeszłego stulecia przenikło to użycie swoim zatrutym tchem wszystkie warstwy społeczeństwa ludzkiego i zatruło wszelkie stosunki życia rodzinnego i publicznego.

Jeżeli dziecię się urodziło, wódka wprowadzała je na świat i do kościoła, a po chrzcie w domu wódką raczono jeszcze chorą matkę dziecka, chrzestnych rodziców, krewnych, przyjaciół i sąsiadów, a nawet dziecko nowonarodzone wódką częstowano. Gdy dziecię miało roczek więcej, to wódką częstowano chrzestnych, rodzinę i gości. Gdy święcono jakąkolwiek uroczystość rodzinną, gminną lub krajową, zapraszano jako pierwszego gościa wódkę.

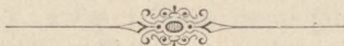
Jeżeli wypadła sprzeczka, wódka zasiadała jako rozjemca na krześle prezydyalnym.

Gdy zawierano układ handlowy, wódka musiała go kontraktowo zatwierdzić.

Gdy gość do domu zawitał, wydobywano natychmiast wódkę, aby nią gościa powitać. Gdy kto zachorował, wódka była natychmiast lekarstwem na wszelkie cierpienia. Przy wesołych lub smutnych zdarzeniach umiała wódka wedle potrzeby pomagać, śmiać się lub płakać — ba nawet w smutku po drogich nieboszczykach przypisywano wódce moc osuszenia łez.

Żaden stan, żadna płeć, żaden wiek nie pozostał jej obcym, biedny czy bogaty, uczony lub nieuk, wysoki lub nizki, silny lub słaby, zdrowy lub chory, jednem słowem, wszystko kupiło się około niej, jakby około życiodajnego źródła. A tymczasem wódka była i jest trucizną i to jedną z najstraszniejszych, najzgubniejszych.

(D. c. n.)



Od Redakcyi.

W-nej Pani St. Izd. w Włoc. List i rb. 2 otrzymaliśmy. Serdecznie dziękujemy za pełne zacności słowa, polecając się modlitwom.

Szanownemu ks. Jac w Gintyl. Przyjmijcie braterskie pozdrowienie. W pracy naszej wspólnej idźmy ręka w rękę.

W-nemu P. Ant. Sroczyń. w Lut. Premium wysłane—adres zmieniony.

W-nej Pani Janinie Wol. w War.—Wola. W przyszłości zastosujemy się do miłych dla nas uwag, wyrażonych w liście Szanownej Pani.

W-nemu P. Wik. Tet. w Puch. Już teraz raz na zawsze będziemy wysyłali „Dzwonek Częstochowski", poczytując Sz. Pana za prawdziwego przyjaciela „aż do mogiły grobowej":

W-nemu P. Kaźm. Żak. Rub. dwa odebraliśmy. Za życzenia pomocy Bożej przy rozowszechnianiu „Dzwonka Częstochowskiego" najserdeczniej dziękujemy.

Czcigodnemu ks. Dziek. Kub. w Piń. Za życzenia łask Bożych, zdrowia i wszelkiego dobra z serca dziękujemy.

W-nemu P. Mar. Dz. w Sosn. Powieść „w Szwedzkich szponach" dopiero po ukończeniu druku w „Dzwonku Częstochowskim" wyjdzie w osobnej książce.

W-nemu P. Ludw Drag. w Rajp. Za 3 tomy „Dzwonka Częstochowskiego" otrzymaliśmy 1 rb. — Bóg zapłać!" za życzliwość.

W-nemu P. Józ. Nor. w Min. „Dzwonek Częstochowski" p. Iwanowskiemu wysyłamy. Za słowa życzliwości dziękujemy.

W-nemu P. Bug. w Pab. Rubla otrzymaliśmy. Współczujemy Pańskiemu nieszczęściu, — ale kogóż, to na świecie zmartwienie omija?... Pamiętajmy jednak, że kto ufa Bogu, temu się przez pracę uczciwą krzywda pomału naprawi. Niech pan wytłómaczy, komu potrzeba, że najczęściej więcej ludzie tracą na pijaństwo i hulanki, aniżeli na książ-

ki pożyteczne... Będziemy się modlili przed cudownym obrazem Matki Boskiej na Waszą intencyę.

W-nemu P. K. Wojc. w Warsz. Kal. 15. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1906 r.

Szanownemu ks. D. Mot. w Pog. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1895 r.

W-nemu R. Now. w Berdycz. Rb. 2 kop. 40 otrzymaliśmy. Prenumerata za rok bieżący uregulowana.

W-nej P. Stank. w Skub. Adres zmieniony. Za zmianę adresu liczymy 20 kop.

W-nemu P. St. Mark. w Suw. Przekaz otrzymaliśmy.

W-nemu W. Małch. w Minneapolis. Przekazem rb. 2 kop. 40 otrzymaliśmy.

W-nemu P. J. Sokoł. w Win. Kiedy wyjdzie serya trzecia—nie wiemy.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Kto życzy sobie odbierać „Dzwonek Częstochowski“ w r. 1904, raczy zawiadomić nas jaknajwcześniej, choćby paru słowami, na karcie pocztowej. Da nam to możność obliczenia, ile egzemplarzy „Dzwonka Częstochowskiego“ potrzeba będzie drukować w tym roku, a Szanownych Prenumeratorów uchroni od przerwy w odbiorze pisma.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.

UWAGA. Do niniejszego tomu dołącza się dwa ogłoszenia — o „Piecach żelaznych z multyplikatorami.



Jego Świętobliwość Papież Pius X.

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“

12 dużych tomów rocznie

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE pod redakcyą **ks. Józefa ADAMCZYKA.**

Nie znaleźlibyśmy innych słów na wyrażenie zadań, które sobie redakcya „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO” postawiła, nad poniżej zamieszczone w pięknym wierszu księdza Pawła Korwina-Kamieńskiego, kanonika katedralnego Łucko-żytomierskiego:

„Dzwonku Częstochowski” dzwoń,
Święte echa roznieś w dal,
Z szumem wiatru, z szumem fal
Od pokuszeń chmur nas broń!
„Dzwonku Częstochowski”, dzwoń,
O Maryi cudach głoś,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznieś woń!
„Dzwonku Częstochowski”, dzwoń,
Głoś Maryi chwałę w świat,
A ojczystej ziemi szmat
Ufną ku niej wzniesie dłoń!..

Tak, na chwałę Najświętszej Maryi Panny, która swój ziemski tron na Jasnej-Górze w Częstochowie sobie obrała, na cześć Tej Królowej Nieba i ziemi pragnie „Dzwonek Częstochowski” — jak za lat poprzednich wdzięcznie i serdecznie dzwonić, aby wróżyć wiernym Czcicielom Maryi dobrą przyszłość, nieść słowa pociechy i ukojenia, aby tak w pałacu, jak w ubogiej chacie być drogim gościem, wnosić błogosławieństwo i łaskę Bożą.

Za zbożną pracę redakcya „Dzwonka Częstochowskiego” zaszczycona została błogosławieństwem Ojca Świętego Leona XIII i następcy Jego najmiłościwiej dziś panującego papieża Piusa X, a także najdostojniejszych pasterzy naszych księży biskupów. To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na redakcyę i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na wszystkich czytelników „Dzwonka Częstochowskiego”.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **„Dzwonka Częstochowskiego“.**



Kościół **Świętego Piotra** w Rzymie.

Nie możemy się też powstrzymać, aby nie przytoczyć tutaj wielce łaskawego dla nas listu Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski" w świat wychodzi.



Jego Ekscelencja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki, biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę.

Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Te wysokie dobrodziejstwa, odznaczenia i uznanie osób, kierujących sprawami Bożemi na ziemi, a zarazem wielką poczytność „Dzwonka Częstochowskiego", jaką się cieszy wśród licznych i szerokich warstw społecznych, uważamy za niezbity dowód łaski Matki Boskiej Częstochowskiej, Orędowniczki naszej i Opiekunki.

Kongres ku czci Maryi, Matki Zbawiciela Świata, odbyty we Fryburgu, gdzie zgromadzili się dostojnicy Kościoła z całego świata Katolickiego, przyznał redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" wysokie odznaczenie, t. j. medal złoty z wizerunkiem Niepokalanej Panienki.



Medal złoty, którym nagrodzono redakcję „Dzwonka Częstochowskiego" na kongresie ku czci Maryi, Królowej Niebios, odbytym we Fryburgu.

O ile te tyle zaszczytne odznaczenia skromnem i wdzięcznem przyjęliśmy sercem, o tyle nie mniejszą radością przejmują nas ciągłe dowody miłości ze strony naszych Czytelników, których liczba wzrasta z dnia na dzień.

Listy te, najczęściej twardą, spracowaną pisane ręką, są dla nas najmilszą zapłatą za trudy i najmilszą lekturą. Jak u źródła w dzień skwarny, tak można orzeźwić ducha, czytając te korespondencye, pełne niezgłębionej miłości Bożej i bliźniego, hartu i męstwa iście chrześcijańskiego, wiary i ufności w miłosierdzie Boże.

Każdy z tych przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego" radby, aby jak najdalej i najszerzej głos jego rozbrzmiewał i każdy pragnąłby jak największego rozpowszechnienia pisma na cześć i chwałę Matki Boskiej Częstochowskiej poświęconego. O, bo nie wszyscy jeszcze ten głos od stóp Jasnej-Góry rozbrzmiewający — słyszą... A głos to krzepiący, który koi bóle, wzywa do zgody braterskiej, wskazuje drogę do najwyższego szczęścia — zbawienia wiecznego...

Wszyscy więc, którzy słyszycie ten dzwon Maryi, Matki Bożej, w cudownym obrazie na Jasnej-Górze w Częstochowie umiłowanej, nie bądźcie nań głusi!..

Przyjmijcie w progi swoje „Dzwonek Częstochowski", jako dobrego przyjaciela i doradcę, zalecajcie to pismo innym, a spełnicie przez to czyn dobry, który Bóg pobłogosławi, — przyczynicie się, jako dobre dzieci, do rozpowszechnienia czci i chwały Najświętszej i najlepszej Matki naszej, Królowej Nieba i Ziemi.

U STÓP JASNEJ-GÓRY.

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

w roku 1905 zawierać będzie: 1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne z obszernem uwzględnieniem spraw Kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

W roku 1905 „Dzwonek Częstochowski" drukować będzie opowieść historyczną z czasów ostatniego prześladowania chrześcijan za panowania Rzymian p. t. „ŻONA CEZARA"

A także nader zajmującą pracę ozdobioną licznemi illustrac., p. t. „BÓG TAK CHCE!"

Będą to wzruszające opisy pochodów, walk, bitew i wiekopomnych wydarzeń z czasów wojen krzyżowych, gdy zatknięto krzyż na murach Jerozolimy i utworzono tamże królestwo chrześcijańskie, aby strzegło Grobu Pańskiego.

W celu przypomnienia Czytelnikom przeszłości naszej drukować będziemy piękną pracę, ozdobioną licznemi illustracyami p. t.

„DAWNE NASZE KLASZTORY i ŚWIĄTYNIE".

W dalszym ciągu drukować będziemy:

1) Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (Opisy prześladowań, jakie znoszą głoszący słowo Boże w krainach pogańskich: Chinach, Indyach, Syamie, wsród murzynów, wśród ludożerców, pod biegunem i t. p.). 2) Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa (najobszerniejszy z istniejących). 3) Życiorys księdza Augustyna Kordeckiego (najobszerniejszy z dotychczas znanych); 4) Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko - Katolickiego w obrazach i życiorysach. 5) Boga Rodzica naszą Matką przez ks. Wł. F. i t. d.

Dla prenumeratorów całorocznych wspaniałe **Premium na rok 1905:**

Piękne, kilkudziesięciu cennemi illustracyami ozdobione

„ALBUM PAMIĄTKOWE"

budowy nowej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Będzie to miła i droga dla wszystkich pamiątka mającego się odbyć w roku 1905 poświęcenia wspaniałej wieżycy, bogatej w tyle wspomnień, drogiej i blizkiej naszemu sercu.

Album to otrzymają wszyscy całoroczni prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego". Życzący sobie otrzymać premium pocztą dopłacają za opakowanie i przesyłkę **30** kop.

Dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego" redakcya ofiaruje po zniżonej cenie książkę:

OBRAZY W SALI RYCERSKIEJ NA JASNEJ-GORZE

ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanemi illustracyami.

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze" za egzemplarz ozdobnie oprawny rub. **1** kop. **50**, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego", żądających wprost z redakcyi, tylko **1** rb. i kop **20** na przesył. poczt.

Wizerunki Dostojników Duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze.

Cena zniżona dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego" — **50** kop., z przesyłką — **67** kop.

Prenumerata **„Dzwonka Częstochowskiego"** wynosi: w Częstochowie rocznie rub. **3**, półrocznie rub. **1** kop. **50**, kwartalnie **75** kop. Z przesyłką pocztową rub. **4**, półrocznie rub. **2**, kwartalnie rub. **1**. W Austryi: rocznie koron **12**, półrocznie koron **6**. W Niemczech: rocznie marek **10**, półrocznie marek **5**. W Ameryce rocznie **2** dolary **50** centów. Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. **12**, na połowie str. rb. **8**, na czwartej części stronicy rub. **5** i za wiersz **75** kop.
Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają **10** kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego" pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Filja w Warszawie: ul. Mokotowska Nr. 47.

Redaktor i Właściciel: **ks. Józef Adamczyk.**